

Sophie Weston

*Zakochany profesor*

## PROLOG

Hala odlotów na lotnisku imienia Kennedy'ego była pełna pasażerów czekających na nocny lot do Londynu. Był wśród nich pewien zaciekawiony dziennikarz, który uważnie przyglądał się twarzom współpasażerów. Nagle wstrzymał oddech. Z przejściem trącił łokciem stojącego obok kolegę.

- Widziałeś?

Tamten był o całe pokolenie starszy od młodego korespondenta telewizji i niewiele mogło go jeszcze zaskoczyć. Swoją karierę zawdzięczał temu, że nie dawał się ponieść emocjom.

- Chodzi ci o Stevena Koniga? Widziałem go już przy głównym wejściu.

Młody człowiek szybko odwrócił się w jego stronę.

- Naprawdę? To ten Konig, który zajmuje się głodującymi? Gdzie jest?

- Odprawili go pierwszego - odpowiedział starszy znudzonym głosem.

- Myślałem, że zjawił się ktoś z rodziny królewskiej. Widziałeś, co za ważna figura go odprowadzała?

Tamten wydawał się coraz bardziej znudzony.

- Jeśli mówisz o Davidzie Guberze, to zna Koniga od lat. Razem studiowali w Oksfordzie - wyjaśnił z nadzieją, że wreszcie będzie miał chwilę spokoju.

Mylił się. Młody człowiek milczał tylko kilkanaście sekund, kręcąc się niespokojnie.

- Nie zauważyłem Koniga - przyznał. - Ale jest tu ktoś o wiele bardziej interesujący - stwierdził, pragnąc rozbudzić ciekawość kolegi. Starszy pan tylko ziewnął.

- Tygrysiątko - odpowiedział triumfalnie przyszły gwiazdor telewizyjnych programów ekonomicznych. Usiadł, oczekując pytań. Tymczasem starszy rozejrzał się po sali.

- Córka Calhouna? - spytał po chwili.

- Tak, Pepper Calhoun - przyznał jego kolega, rozczarowany, że nic potrafił tamtego niczym zaskoczyć. Przynajmniej wiedział, że Penelope Anne Calhoun była przez rodzinę nazywana Pepper.

Starszy zamyślił się na chwilę.

- Interesujące - powiedział w końcu.

- Właśnie. Myślisz, że korporacja Calhoun Carter zacznie działać na angielskim rynku? Od razu przychodzi mi do głowy kilka firm handlowych, które chętnie pozwoliłyby się przejąć - powiedział. Obliznął wargi na myśl, że mógłby pierwszy opublikować taką sensację po powrocie do Londynu. Oczywiście, o ile stojący obok Sandy Franks nadal nie będzie wykazywał zainteresowania tematem.

Tymczasem Sandy rozmyślał na głos.

- O ile wiem, ta dziewczyna nie pracuje dla Calhoun Carter. Mary Ellen Calhoun rozповідаła na lewo i prawo, że jej wnuczka musi najpierw zdobyć trochę doświadczenia, nim na stałe osiedzi w firmie.

- Wierzysz w to?

- Kto wie? Może Pepper Calhoun zdecydowała się zasmakować samodzielności? Pojeździ po świecie, pozna jakie-

gość chłopaka. Ile ma lat? Dwadzieścia sześć? Dwadzieścia siedem? Niech sobie trochę poszaleje, zanim ustatkuje się w zarządzie bezwzględnej korporacji.

- Nie rozśmieszaj mnie - pokiwał głową młody Martin Tammery, zaskoczony naiwnością starszego kolegi. - Ona nie prowadzi życia towarzyskiego. Dla niej dobra zabawa to osiemnastogodzinny dzień pracy, a potem jeszcze nocne rozmowy służbowe przez telefon. Nie miała chłopaka od czasów szkolnych.

- W takim razie dojrzała już do romantycznej przygody - zawyrokował Sandy Franks. Jego kolega nie był o tym przekonany.

- Pewne jest tylko, że Pepper Calhoun nie romansowała i nadal nie zamierza.

- Dlaczego tak sądzisz?

- W przyszłości odziedziczy gigantyczną firmę handlową i tylko to ją interesuje. Zbieram informacje na jej temat od jej pierwszego balu. Możesz mi wierzyć, że jest zupełnie jak jej babka: umysł jak komputer, język ostry jak brzytwa, a serce jak kosmos.

Starszy pan zamrugał zdziwiony porównaniem,

- Co ma kosmos wspólnego z Peper Calhoun? - spytał.

- Jedno i drugie jest wrogie, puste i nie do zdobycia - odpowiedział tamten z naciskiem.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jak wiele może się zmienić w ciągu tygodnia! Penelope Anne Calhoun oparła głowę o ścianę w hali odlotów. Próbowała spojrzeć z dystansu na ostatnie wydarzenia. Jeszcze przed tygodniem wydawało jej się, że dokładnie zna swoją przyszłość. Miała zaufanych przyjaciół, dalekosiężne plany i mieszkała w najlepszej dzielnicy Nowego Jorku.

Co prawda pojawiły się pewne drobne problemy, ale Pepper była przekonana, że poradzi sobie z nimi bez trudu. Gdy ostatecznie przygotowania do programu sprzedaży „Prosto z Poddasza” zostaną zakończone, pójdzie do babki i powie, że właśnie tym zamierza się zajmować.

Nie obyło się bez życzliwych przestróg.

- Pepper, jesteś pewna, że to dobry pomysł? - spytał jej dawny wykładowca ze szkoły biznesu. - Mnie się podoba, ale co się stanie, kiedy twoja babcia się dowie?

- Nic się nie stanie - zapewniła z przekonaniem.

Profesor nie był takim optymistą.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście - stwierdziła.

- Czy na pewno pani Calhoun nie potraktuje tego jako konkurencji dla Calhoun Carter?

Pepper roześmiała się głośno.

- CC. ma oddziały we wszystkich większych miastach

amerykańskich i pięciu krajach za oceanem. Program handlowy „Prosto z Poddasza” w porównaniu z Calhoun Carter jest jak pchła, a może raczej jak plankton przy wielorybie.

- Niezupełnie o to mi chodziło - próbował tłumaczyć profesor. - Ona może potraktować to jak wkroczenie na teren zarezerwowany dla jej firmy.

Pepper zbyła go uśmiechem.

- No dobrze. Może na początku trochę się rozzłości, ale potem spojrzy na to tak jak ja. Babcia zrozumie, że muszę się czymś wykazać.

- Jesteś o tym przekonana? - upewnił się.

- Jasne - powiedziała z niezachwianą pewnością dziewczyny, którą Mary Ellen Calhoun traktowała od ósmego roku życia jak małą księżniczkę. - Babcia chce dla mnie wszystkiego co najlepsze. Ona po prostu mnie kocha.

Jej rozmówca ustąpił i wycofał się z dyskusji. Pepper nawet trochę mu współczuła, bo chyba zbyt szybko zabrakło mu argumentów w rozmowie z dawną uczennicą. Niestety, nie przeczuwała, że to właśnie on miał rację.

Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że nie wszystko idzie zgodnie z jej planami w dniu, gdy porwał ją Ed. Oczywiście nie bała się. Znała Eda Iwanowa od niepamiętnych czasów. Oprócz tego członków rodziny Calhoun niełatwo było przestraszyć, a przecież była jedną z nich. Zachowała zimną krew.

- Ed, o co właściwie chodzi? - spytała. On tylko pokręcił głową i gestem dał do zrozumienia, że nie ma sensu przekrzykiwać silnika helikoptera.

Pepper spoglądała w dół na nieznaną krajobraz i próbo-

wała odgadnąć, gdzie się znajdują. Była pewna, że Nowy Jork został daleko w tyle. Ed zaprosił ją do helikoptera, mówiąc, że chciałby poznać ją z potencjalnymi inwestorami. Należał do niewielkiej grupy zaufanych przyjaciół, którzy doskonale znali jej plany na przyszłość. Bez namysłu zgodziła się więc na jego propozycję.

Zaczęła mieć pewne podejrzenia, gdy opuścili miasto, minęli przedmieścia i skierowali się wzdłuż koryta rzeki. Ed przestał wspominać o inwestorach, a właściwie zupełnie przestał się odzywać.

W szkole biznesu Pepper otrzymała roczną nagrodę za pracę na temat rozwiązywania problemów. Miała teraz okazję, żeby teoretyczne rozważania zastosować w praktyce. Dobra, Pepper, rozwiąż ten problem, powiedziała do siebie i poklepała Eda po ramieniu.

- Mogą być tylko trzy powody, dla których wiesz mnie nie wiadomo dokąd: okup. nieopanowana namiętność albo nagła utrata zdrowych zmysłów. No to o co chodzi?

Jednak on tylko machnął wypielegnowaną dłonią i wskazał na hałaśliwy wirnik helikoptera.

Pepper potrząsnęła głową. Jeśli Ed nie stracił pracy w ciągu ostatniej doby, na pewno nie potrzebował pieniędzy. Był wziętym analitykiem giełdowym na Wall Street. Nie mogło też chodzić o wybuch namiętnych uczuć. Co prawda kiedyś krótko spotykali się, ale było to dość dawno. Rozstali się spokojnie i nie rozpaczali z tego powodu. Chyba że Ed naczytał się romansów, leżąc na plaży i postanowił ją porwać na weekend, by w romantycznych okolicznościach zaproponować małżeństwo.

Spojrzała na niego. Przyglądał się mijanej dolinie, obgry-

zając paznokcie. Romantyczny wypad? Niemożliwe! - pomyślała, obserwując go spod opuszczonych czarnych rzęs. Bardzo kontrastowały z jej rudymi włosami i uważała, że to jeden z nielicznych atutów, jakimi obdarowała ją natura. Pepper doskonale zdawała sobie sprawę, że nie jest jakoś wyjątkowo atrakcyjna. Tym bardziej wersja z romantycznym porwaniem wydawała się niemożliwa. Ed nawet na nią nie spojrział. Zachowywał się raczej jak kurier wiozący kłopotliwą przesyłkę.

Niespodziewanie helikopter zniżył lot i wylądował na środku polany, a Ed znów przemówił.

- To domek wędkarski mojego ojca - wyjaśnił i pomógł jej wysiąść. Nie przejmuj się, powtarzała sobie jak zaklęcie.

- Przypomnij mi, od kiedy lubię łowić ryby - poprosiła z przekąsem. Uśmiechnął się z lekkim zniecierpliwieniem.

- Mówiłem ci, że przyjechaliśmy tu na spotkanie - odpowiedział.

Wtedy ogarnęły ją złe przecucia, ale zachowała zimną krew.

- Czy mam wypakować plansze i inne materiały? - spytała chłodno. Wzięła ze sobą wszystko, co niezbędne do prezentacji nowego przedsięwzięcia. Przeczaco pokręcił głową.

- Jakoś nie jestem zaskoczona - stwierdziła ironicznie.  
- Dobra, prowadź.

Domek był bardzo skromny i niski. Wyraźnie potrzebował remontu. Wiodąca do niego droga pokryta była błotnistymi kałużami. Pepper z westchnieniem pomyślała, że jej eleganckie czarne spodnie, które kosztowały majątek, już nigdy nie będą takie jak dawniej. Drzewa nie chroniły przed deszczem. Pepper poczuła, jak włosy oblepiają jej twarz,



a żakiet nasiąka wodą. Przeszedł ją dreszcz, lecz nie z powodu deszczu i zimna.

- Jeśli ludzie z CIA chcą mi zaproponować współpracę, od razu możesz im powiedzieć, że nic z tego - próbowała żartować.

Na odgłos ich kroków ktoś wyszedł na prymitywną werandę. Była to jej babka. Pepper nagle straciła ochotę, żeby dopatrywać się w tej sytuacji zabawnych momentów. Zatrzymała się gwałtownie i rzuciła Edowi miazdzące spojrzenie.

- Nie dramatyzuj. To tylko interesy - stwierdził Ed, czując wyrzuty sumienia.

- Nie, Ed. To moje życie.

- Teraz przemawiasz jak miss nastolatek - powiedział, nie patrząc na nią.

Pepper spojrzała w stronę domku. Mary Ellen Calhoun uważnie im się przyglądała. Nawet tutaj, w głębi lasu miała na sobie strój od paryskiego krawca, a na palcach brylanty. Spod kruczoczarnych włosów błysnęły weneckie kolczyki. Mary Ellen Calhoun liczyła sobie siedemdziesiąt trzy lata, była siwa, lecz nie zamierzała przyznawać się do tego.

- Co ci obiecała za dostarczenie mnie tutaj? - spytała Pepper. Ed przybrał oburzoną minę.

- Nic. Po prostu nie chciała, żebyś popełniła wielki błąd.

- Co jest błędem? To, że chcę zrealizować własny pomysł? Przecież po to skończyłam studia.

- Słuchaj, Pepper - tłumaczył cierpliwie - „Prosto z Poddasza” to mozolne rozwijanie sieci sprzedaży detalicznej. Zabierze ci to przynajmniej pięć lat życia. Mary Ellen nie chce czekać lak długo, nim znów zasiądziesz w zarządzie Calhoun Carter.

- Od kiedy jesteś z nią po imieniu? Zdaje się, że ostatnio często ze sobą rozmawiacie.

- Niespecjalnie - stwierdził Ed. - Kilka tygodni temu wpadliśmy na siebie na jakimś przyjęciu charytatywnym.

- Moja babka nie zjawia się na takich imprezach bez powodu - powiedziała Pepper. beznamiętnym tonem. - I nigdy na nikogo nic wpada - dodała.

Spojrzał na nią zmieszany. Pepper wzruszyła ramionami.

- Cóż. pewnie mogło się tak zdarzyć - przyznała. - Poczekaj tutaj. To nie będzie miła rozmowa - powiedziała przyciszonego głosem.

Gdy tylko spojrzała babce w oczy, wiedziała, o co chodzi. Mary Ellen chciała, by wnuczka wróciła do zarządu rodzinnej firmy. Najlepiej natychmiast.

Oczywiście nawet w tak napiętej sytuacji zachowała pozory. Wyciągnęła do wnuczki ręce i uśmiechnęła się szeroko. Pepper dobrze znała ten uśmiech. Był tak zwodniczo niewinny jak jadowita żmija wygrzewająca się w słońcu. Oczywiście Mary Ellen trudno byłoby nazwać typową babcią. Pełniła funkcję prezesa Calhoun Carter od czasu, gdy jej mąż zmarł przed trzydziestoma trzema laty. Pepper nie dowierzała jej, ale darzyła starszą panią szacunkiem.

Nie odwzajemniła powitalnego gestu.

- Witaj, babciu - powiedziała cicho.

Mary Ellen zaskoczył ton głosu wnuczki.

- Kochanie, cieszę się, że cię widzę - zaczęła Mary.

- Nie sądzę - wtrąciła ponuro Pepper. - Oszczędź mi miłego wstępu i przejdźmy do rzeczy.

Obie panie spojrzały sobie twardo w oczy. Nagle Mary Ellen Wybuchnęła dźwięcznym śmiechem, który opanowała

do pefekcji w czasach, gdy dopiero wkraczała w wielki świat, próbując wyrwać się ze zubożałej rodziny. Zanim przejęła firmę męża i stała się bezwiednym rekinem finansjery.

- Może w takim razie wejdiesz, żeby ochronić się przed deszczem? - zaproponowała.

- A Ed? - spytała Pepper z kpina w głosie. - Jego też chcesz chronić przed deszczem?

Mary Ellen wzruszyła ramionami.

- Jest mężczyzną. Trochę deszczu mu nie zaszkodzi.

- Właśnie pomyślałam, że nie będziesz chciała mieć świadków - stwierdziła Pepper.

Mary Ellen nie była łaskawa na to odpowiedzieć. Wkroczyła majestatycznie do wnętrza. W chwili gdy za jej wnuczką zamknęły się drzwi, przestała silić się na uprzejmość. Pepper pomyślała, że przyjdzie jej stoczyć trudną walkę z tą złośliwą staruszką, dlatego od razu przeszła do rzeczy.

- Dobra, zaczynaj. Widzę, że słyszałaś już o moich planach. Uważasz, że coś może mnie powstrzymać?

- Już to sama zrobiłam - odpowiedziała Mary Ellen z uśmiechem.

- Słucham?

- Jesteś naprawdę naiwna. Poleciłam w dziale finansowym, żeby rozpowiedzieli na lewo i prawo, że każdy, kto pożyczyci ci pieniądze, może od razu pożegnać się na zawsze z firmą Carter Calhoun.

Pepper stała bez ruchu.

- Rozumiem. Pewnie tym zajmowali się dziś rano. Ed wywiózł mnie z miasta, żeby nikt nie mógł się ze mną skontaktować.

Mary Ellen wzruszyła ramionami.

- Po co mieliby to robić?

Pepper zdawała sobie sprawę, że starsza pani ma rację. Tak, kochana babunia pomyślała o wszystkim...

- Nigdy nie potrafiłaś grać uczciwie - stwierdziła Pepper.

- Szkoda, że o tym zapomniałam.

- Chcę, żebyś wróciła do firmy. Dobrze o tym wiesz. Twoje pomysły to po prostu strata czasu - oświadczyła zniecierpliwiona, otwierając elektroniczny notatnik. - Powiedzmy, w połowie przyszłego tygodnia? Będziesz miała czas, żeby wyprowadzić się z tego okropnego mieszkania. Wrócisz do domu, gdzie jest twoje miejsce. Powiem Jimowi, żeby przygotował ci gabinet.

- Nie - powiedziała cicho Pepper.

Mary Ellen wpisała notatkę.

- Środa, za piętnaście ósma - powiedziała, jakby nie słyszała głosu Pepper. - Zapytasz o Connie. Zajmuje się sprawami zatrudnienia. Znajdzie cię.

- Powiedziałam: nie.

Mary Ellen usiadła wygodnie.

- Nie masz wyjścia - oświadczyła chłodno. - Ten twój biznes to beznadziejny pomysł. Jeśli natomiast chciałabyś zacząć pracę w jakiejś firmie, nikt poza mną cię nie zatrudni.

Pepper spojrzała zaskoczona. Wydawało mi się, że babcia mnie kocha. Błąd. Ona kocha jedynie władzę. Uwielbia manipulować ludźmi i pociągać za sznurki. Jak mogłam tego nie zauważyć? - zastanawiała się ze smutkiem.

- Pozwól, że ci wytłumaczę - zaczęła Mary Ellen matczynym tonem, co jeszcze bardziej rozzłościło Pepper. Dosłownie zaniemówiła.

Mary Ellen uznała milczenie wnuczki za kapitulację.

- Spójrz na to w ten sposób - jesteś ostatnią z Calhounów i każdy w branży handlowej uznałby cię za szpiega przemysłowego. W innych branżach stanowiłabyś kłopot. Uważaliby, że powinni cię szczególnie chronić. Możesz pracować jedynie w rodzinnej firmie. Tu jest twoje miejsce. Nie masz się co zastanawiać. Nikt w Stanach nie wyłoży nawet centa na twoje pomysły - stwierdziła z uśmiechem psotnego dziecka, stukając palcem w notatnik. - Do zobaczenia w środę.

Pepper próbowała uspokoić oddech. Weź się w garść, powtarzała sobie. Jeśli stracisz panowanie nad sobą, ona wygra. Już myśli, że wygrała. To twoja ostatnia szansa.

- Nie - powiedziała cicho.

Mary Ellen nie kryła zdumienia. Nie przyszło jej do głowy, że Pepper będzie się opierać. Zaskoczona, natychmiast rozpoczęła wściekły atak, nie przebierając w słowach. Pepper po prostu stała, słuchając słów spadających na nią jak grad. W końcu stało się jasne: była własnością Calhoun Carter Industries. Firma płaciła przez lata za jej wykształcenie, utrzymanie domu na południu Francji, mieszkanie w Nowym Jorku, domku na jednej z wysp Morza Południowego, apartamentu w rezydencji Calhounów.

- Przecież to wszystko nic jest moją własnością - głośno zdała sobie sprawę z sytuacji. Mary Ellen wyszczerzyła zęby jak atakujący drapieżnik.

- Wreszcie to do ciebie dotarło!

Pepper z trudem przetrawiała tę informację.

- Chcesz powiedzieć, że wszystko, co dałaś mi przez te lata...

- Zainwestowałam - chłodno stwierdziła Mary Ellen. - Jesteś tylko inwestycją.

Pepper zbladła już wcześniej, ale teraz jej twarz przybrała szary kolor. Czy to naprawdę ta kobieta przedstawiała mnie na przyjęciach jako swoją małą księżniczkę? - pomyślała z bólem.

Mary Ellen znów uśmiechnęła się.

- Przypomnij sobie: szkoły w Europie, rok w Paryżu, nawet załatwiłam ci szkołę biznesu, gdy byłeś o pięć lat młodszą od innych, żebyś jak najszybciej zaczęła pracę w naszej firmie.

- Napisałam dobrą pracę i przyjęli mnie w nagrodę.

- Praca o rozwiązywaniu problemów! Kiedy rozwiązałaś jakiś problem? Wszystko zawsze załatwiały pieniądze Calhounów - sztychła Mary Ellen. Wymieniła po kolei drogie szkoły, stroje, mieszkania i znajomych, ludzi biznesu, którzy traktowali ją jak równą sobie, młodych biznesmenów, którzy umawiali się z nią na randki.

Randki? Pepper poczuła zimny dreszcz.

- O czym ty mówisz? Co moje randki mają z tym wspólnego?

Mary Ellen zrozumiała, że zadała celny cios. Oczy jej rozbłysły.

- Nie masz pojęcia, ile mnie kosztowało stworzenie ci życia towarzyskiego - mówiła z miłym uśmiechem, który doskonaliła od lat. Jednak jej spojrzenie nie miało nic wspólnego z życzliwością. - Jesteś beznadziejnie nieatrakcyjna. Kto spojrzałby na ciebie, gdybyś nie była moją wnuczką?

Pepper zdawała sobie sprawę, że nie ma figury supermodelki, ale uważała się za dobrego kumpla, i to w jej mniemaniu przysparzało jej sporo znajomych. Powiedziała to głośno. Mary Ellen zmrużyła oczy.

- I pewnie myślisz, że któregoś dnia zjawi się wyśniony księżę, żeby cię poślubić? Dorośnij wreszcie!

- Słucham?

- Masz tylko jedną szansę, żeby założyć rodzinę - mówiła tamta, szczerząc zęby. - Jeśli ja kupię ci męża. Na szczęście po tych randkach, które, sporo mnie kosztowały, mam już długą listę kandydatów.

W tym momencie Pepper uświadomiła sobie, że więcej nie jest w stanie znieść. Wyrwała się z odrętwienia. Odwróciła się i wyszła.

- Dokąd idziesz? - wrzasnęła za nią Mary Ellen, zapominając o dobrych manierach.

Krzyki nie zatrzymały Pepper. Pobiegła błotnistą ścieżką do miejsca, gdzie czekał Ed. Babka wybiegła za nią, lecz zatrzymała się, gdy ścieżka zaczęła piąć się w górę.

- Wracaj tu natychmiast! - ryknęła. Pepper nie zatrzymała się, nawet gdy pośliznęła się i upadła na kolano. Czuła, że z rany sączy się krew, ale nie zwracała na to uwagi. Zależało jej tylko na tym, by jak najszybciej uciec od babki, której rzekoma miłość od początku była jednym wielkim kłamstwem.

Zdyszana dobiegła do Eda.

- Zabierz mnie do Nowego Jorku - powiedziała pośpiesznie. - Natychmiast.

Zawahał się, lecz tylko przez chwilę. Nie miał tyle odwagi, by zostać tu w towarzystwie rozjuszonej Mary. Ellen. Chwyił Pepper za rękę i pociągnął za sobą w kierunku polany, gdzie czekał helikopter.

- Penelope Anne Calhoun! - dobiegł ich donośny głos filigranowej staruszki. - Beze mnie niczego nie osiągniesz, słyszysz? Jesteś moją własnością!

Tydzień później Pepper uwierzyła, że to prawda. Oparła się o ścianę, żeby przepuścić grupę uprzywilejowanych VIP-ów, wsiadających poza kolejnością na pokład samolotu lecącego do Londynu. Nie chciała być rozpoznana przez któregoś z nich. Ostatecznie Mary Ellen należała do bardzo wpływowych osób, a Pepper do niedawna też zaliczała się do grona uprzywilejowanych, jak przystało na dziedziczkę majątku Calhounów.

Teraz to już przeszłość... Chciała polecieć do Londynu i zacząć nowe, samodzielne życie. Musiała tylko trzymać się z dala od ważnych osobistości.

- Profesor Konig? - spytała z zawodowym uśmiechem czekająca na nich stewardesa. - Witamy na pokładzie. Proszę tędy.

Bardzo ważny człowiek ruszył za nią. Dalej kroczył przedstawiciel linii lotniczych.

- A więc tak wygląda pierwsza klasa - Steven Konig szepnął do Davida Gubera. - Natychmiastowe sprawdzenie nazwiska i osobiste odprowadzenie na miejsce.

Tymczasem stewardesa zabrała jego marynarkę, zostawiając ich samych.

- Zastanawiam się, czy to usprawiedliwia taką różnicę w cenie biletu - dodał profesor, a David uśmiechnął się i klepnął go po ramieniu.

- Steven, możesz sobie pozwolić na odrobinę luksusu - powiedział. - Jesteś wart tego, żeby przelecieć nad Atlantykiem w komfortowych warunkach. Naprawdę jestem ci wdzięczny. Wybawiłeś nas z poważnego kłopotu. Gdybyś nie przyjechał, ta konferencja nie miałaby sensu. Przygotowałeś świetne wystąpienie.



Steven wzruszył ramionami.

- Z przyjemnością tu przyjechałem. Temat interesował mnie od dawna. Wreszcie musiałem trochę pogłówekować - mówił z uśmiechem. - Ostatnio ciągle siedzę na jakichś spotkaniach, a tym razem trzeba było rozruszać szare komórki.

- Chciałbyś znów pracować tylko na jednej posadzie?  
- spytał David z niedowierzaniem.

- Moją prawdziwą pracą jest stanowisko prezesa Kplant - stwierdził stanowczo. - Natomiast zajęcia w College'u Królowej Małgorzaty to nie praca, tylko powołanie. Zapytaj tamtejszego dziekana - dodał.

Roześmiali się. Poznali się przed laty w czasie studiów w Oksfordzie i obaj wielokrotnie byli karani przez dziekana za niewłaściwe zachowanie.

- Nie ucieszył się, że tam wróciłeś? - spytał David, unosząc brew.

- Nie umie sobie odmówić drobnych złośliwości - przyznał rozbawiony Steven.

- Trudno to nazwać pracą pełną stresów.

- Cóż, gdybym chciał mieć spokój, pozostałbym przy pracy w laboratorium. Jednak gdy tylko założysz własną firmę, skazujesz się na życie pełne stresów.

Dave spojrział na przyjaciela z zaciekawieniem. Sam pracował dotychczas w międzynarodowych korporacjach.

- Warto zaryzykować?

- Jasne. To jest wspaniałe - zapewnił Steven z wielkim entuzjazmem.

- Nigdy nic masz ochoty zwolnić tempa? - spytał David od niechcienia. Oczywiście w biznesie „zwolnienie tempa”

jest pierwszym krokiem do klęski, ale nagle przypomniał sobie wspaniałą blondynkę, z którą Steven spotykał się przed laty. Obecnie nikt już o niej nie wspominał, nikt też nie słyszał o nowej partnerce Stevena. Zdał sobie sprawę, że przyjaciel musi być wyjątkowo samotnym człowiekiem.

- Nie myślałeś nigdy o założeniu rodziny?

Twarz Stevena zmieniła się. David poczuł, jakby nagle przestał rozmawiać z dawnym kumplem. Miał przed sobą ważnego biznesmena, który wyrazem twarzy dawał do zrozumienia, że należy się rozstać.

- Cóż - ciągnął z westchnieniem - pamiętaj, że obiecałeś spędzić u nas najbliższy urlop. Marise i ja liczymy na ciebie.

Urlop? - Steven ledwo powstrzymał się od śmiechu.

- Jasne - powiedział wymijająco. Zawsze dotrzymywał obietnic, więc starał się zbytnio nimi nie szafować.

- Nie zapomnij - nalegał David.

Steven zdobył się na posotny uśmiech. Przez chwilę wyglądał jak student, któremu udał się jakiś wyjątkowo złośliwy kawał.

- Umieszczę to w planie na najbliższe pięć lat.

David uniósł ręce w geście rozpaczony.

- Jesteś szalony.

David Guber był ważną figurą, ale nie dorastał do pięt Stevenowi Konigowi, który samodzielnie rozwinął początkowo skromną firmę zajmującą się badaniem żywności i teraz uchodził za potentata.

- Jeśli na chwilę uda ci się uciec od obowiązków, przyjedź do nas - powiedział i odwrócił się w stronę czarującej stewardesy - Proszę się postarać, żeby profesor Konig miał najlepszą podróż w życiu. Dużo zawdzięczamy temu panu.

- Miłego lotu - dodał, ściskając mu dłoń na pożegnanie. Steven otworzył teczkę pełną dokumentów, nim Guber zdążył opuścić samolot.

- Panie profesorze, czy coś panu podać? - spytała stewardesa. Steven zdał sobie sprawę, że wszystkie znajome kobiety tytułowały go profesorem, prezesem lub przynajmniej szefem. Jak więc miał umawiać się z nimi na randki, do czego tak usilnie namawiał go David?

- Zimny napój, a może kawa? - nie ustępowała stewardesa.

- Nie, dziękuję - powiedział z uprzejmym uśmiechem. - Natomiast byłbym wdzięczny, gdyby nikt mi nie przeszkadzał - dodał, widząc grupkę brytyjskich delegatów wracających z konferencji. Doświadczenie nauczyło go, że zawsze znajdzie się ktoś, kto marzy, by z nim porozmawiać.

- Załatwione - zapewniła.

Steven ślezczał nad dokumentami jeszcze długo po wyłączeniu przez obsługę głównych świateł w kabinie. Inni pasażerowie wygodnie układali się do snu. Dokończył notatki do miesięcznego sprawozdania z działalności firmy Kplant, napisał kilka listów i przygotował konspekt najbliższego wykładu na uczelni. Spojrzał na zegarek. Rozsądny człowiek wykorzystałby najbliższe dwie godziny na sen. Cóż, ja zawsze jestem rozsądny, pomyślał i wyłączył światło nad głową. Zasnął w ciągu kilku sekund.

Pepper nigdy nie podróżowała klasą turystyczną. Pomyślała ponuro, że teraz ma szansę nadrobić brak doświadczenia. Fotel wydawał jej się niewygodny i ciasny. Kobieta siedząca obok przy każdym ruchu uderzała ją łokciem w żebra. Z uporem opowiadała o swoim życiu, nim wreszcie zasnęła.

Dalej grupa młodych biznesmenów wychylała drinki, głośno wymieniając uwagi na temat jakiejś konferencji. Załoga samolotu co prawda zdołała usadowić ich na miejscach, ale Pepper już nie była w stanie zasnąć. Pewnie to jest cena za ucieczkę, powiedziała sobie, starając się nie tracić dobrego humoru. Nigdy już nie będę podróżować w bardziej luksusowych warunkach. Od dawna wiedziała, że zadzieranie z babką może być niebezpieczne. Nie przypuszczała jednak, że Mary Ellen posunie się tak daleko. A ja uwierzyłam w jej miłość. Byłam ślepą, naiwną idiotką! - pomyślała z goryczą.

Mary Ellen zemściła się natychmiast i najwyraźniej nie zamierzała przebierać w środkach. Zaledwie dwa dni minęły od ich rozmowy, gdy Pepper otrzymała wezwanie do opuszczenia apartamentu. Właściwie spodziewała się czegoś takiego. Natomiast nie przewidziała, że wszyscy odwołają umówione wcześniej spotkania. Firma wynajmująca jej biuro zażądała nagle zapłaty za rok z góry. W przeciwnym wypadku proszono o zwolnienie lokalu do końca tygodnia. Platynowa karta kredytowa Pepper z dnia na dzień została unieważniona.

Pepper usiłowała skontaktować się z Mary Ellen, ale ta odmówiła rozmowy przez telefon. Wtedy Pepper pojechała do budynku firmy Calhoun Carter. Mary Ellen nie przyjęła jej. Najpierw kazała czekać przez pół godziny, a później poleciała, by ochrona wyprowadziła wnuczkę z budynku.

Pepper nie mogła w to uwierzyć.

- Dlaczego? - spytała Carmen, asystentkę Mary Ellen, którą znała od lat. - Wszyscy będą uważać, że ją okradłam lub zrobiłam inne świństwo.

Carmen spojrzała na nią ze łzami w oczach.

- Właśnie dlatego.  
- A zatem robi to wszystko na pokaz?  
- Pani Calhoun powiedziała, że pora, byś posmakowała samodzielności, skoro tak ci na niej zależy - wydukała Carmen jak wyuczoną lekcję.

- Chce zniszczyć moją wiarygodność - podsumowała powoli Pepper. Asystentka wytarła nos.

- Pepper, lepiej odejść dyskretnie. Po co mają o tobie mówić w wieczornych wiadomościach?

Pepper wróciła do apartamentu, usiadła i spisała wszystkie swoje atuty. Było tego zadziwiająco niewiele: zmysł do interesów, szafa eleganckich strojów, kwota pieniędzy wystarczająca na skromne przeżycie sześciu miesięcy, znajomość trzech języków. Był jeszcze doskonały projekt kampanii „Prosto z Poddasza”. Tyle że jej babka na pewno zadba, by z tego projektu nic nie wyszło.

Zaczęła się pakować, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Zerknęła przez wizjer.

- Ed, co cię sprowadza? - spytała znużonym głosem, otwierając drzwi. Ed zrzucił płaszcz i usadowił się na sofie. Gestem zaprosił Pepper, by usiadła obok. Objął jej dłoń, lecz Pepper natychmiast ją cofnęła.

- Nic musisz robić takiej grobowej miny - oznajmiła.  
- Nikt przecież nie umarł.

- Jeszcze nie, ale twoja kariera za chwilę się skończy - powiedział smutnym tonem. - Dlaczego nie dogadasz się z Mary Ellen? To szaleństwo porzucić Calhoun Carter dla kaprysu. Urodziłaś się do biznesu.

- Ale nic dla księcia z bajki - stwierdziła.

- Słucham? - spytał zaskoczony.

- Ed, mógłbyś odpowiedzieć mi na jedno pytanie? Kiedyś umówiliśmy się ze sobą. Spotkałeś się wtedy ze mną, bo tamtą randkę zaaranżowała Mary Ellen?

Zastanawiał się odrobinę za długo. Pepper miała nadzieję, że babka kłamała w tej sprawie. Niestety, mówiła prawdę...

- Dziękuję - powiedziała cicho. - Żegnaj, Ed.

Pepper spędziła bezsenność, rozmyślając o swym smutnym losie. Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna i bezsilna. Jednak również tej nocy powzięła ostateczną decyzję. Wyjedzie tam, gdzie nikogo nie będzie, obchodzić, czyją jest wnuczka. Następnie zorganizowała wszystko o wiele szybciej, niż wydawało się to możliwe. Pozbyła się mebli, rozdała książki i kompaktów, pożegnała się z dwiema czy trzema osobami i opuściła apartament, nim Mary Ellen zdążyła nasłuchać kogoś, by ją wyrzucił na bruk.

Siedząc w samolocie, pomyślała, że teraz będzie mogła przekonać się na własnej skórze, czy rzeczywiście zasłużyła na nagrodę za pracę o rozwiązywaniu problemów. Jeśli tak, to uda jej się przetrwać w Londynie. Tam zrealizuje swoje plany, założy firmę, a może nawet znajdzie księcia z bajki? Nie bądź zbyt ambitna, zgasiła swój optymizm, przymykając oczy.

Steven Konig obudził się, gdy w kabinie zaczął się unosić zapach świeżej kawy. Pozostali pasażerowie nadal drzemali przy przyściemnionym świetle. Stewardesa zauważyła, że się poruszył, i natychmiast podeszła. -

- Panie profesorze?

Wyprostował się w fotelu, przecierając oczy.

- Czy to musi zaczynać się od świtu?
- Słucham? - spytała zaskoczona.
- Proszę nie nazywać mnie profesorem przed śniadaniem
- wyjaśnił żartem.
- Nie musi pan jeszcze wstawać - powiedziała uprzejmie. - Do lądowania została co najmniej godzina.
- Steven uwolnił się od pledu i poduszki.
- W porządku. Mam sporo pracy. Poza tym chętnie popatrzę na wschód słońca.

Skinęła głową i wróciła do pokładowej kuchenki. Aromatyczny zapach kawy był coraz silniejszy. Kiedy ostatnio obudził mnie taki zapach? - zastanawiał się Steven. Musiało to być w czasie wakacji w Toskanii przed sześcioma laty. Uśmiechnął się do siebie i przejechał dłonią po policzkach. Miał twardy zarost. Przed laty Courtney powiedziała mu któregoś ranka, że zasnęła obok Don Juana, a obudziła się obok zarośniętego pirata. Wtedy jeszcze stanowiła część jego życia. Często żartowali z łączącej ich miłosnej przygody. Dopiero później zdecydowała, że bogaty Tom Underwood jest lepszą partią niż początkujący naukowiec, który musi dorabiać pracą na stacji benzynowej. Dla Courtney nie miało znaczenia, że Steven ją kochał, a Tom był jego najlepszym przyjacielem.

Steven otrząsnął się ze wspomnień. Wstał z fotela i ruszył do łagodnie oświetlonej łazienki dla pasażerów pierwszej klasy, by jak co dzień zadbać o nieskazitelny wygląd doskonałego biznesmena. Jednak tym razem postanowił się nie golić. Przez ostatni tydzień był w ciągłym napięciu z powodu konferencji. Musiał golić zarost dwa razy dziennie, słuchać nudnych wystąpień, wymieniać uprzejme uwagi z obcymi

ludźmi, a żadna rozmowa nie wykroczyła poza sprawy biznesu. Miał już dość dbania o nieskazitelny wygląd.

Spojrzał w lustro. Wyglądam jak rewolwerowiec ze starego filmu, pomyślał rozbawiony. Na pewno nikt nie rozpoznałby- we mnie prezesa wielkiej firmy ani wykładowcy z Oksfordu. Doskonale! Właśnie o to mi chodzi, powiedziała do siebie. Włożył czystą koszulę, ale nie wsunął jej do spodni. Stewardesa powinna być zaskoczona jego nowym wizerunkiem. Z uśmiechem opuścił łazienkę. Był na tyle zamyślony, że wpadł na nadchodzącą osobę, która upuściła podręczną torebkę z przyborami toaletowymi. Steven natychmiast pochylił się, żeby ją podnieść i podać właścicielce. Była to wysoka kobieta ze zmęczoną twarzą. Robiła wrażenie, jakby nie zmrużyła oka od chwili, gdy opuścili Nowy Jork.

- Przepraszam - powiedziała.

- To moja wina. Bardzo przepraszam.

Kobieta pokręciła przecząco głową.

- W ogóle nie powinnam tu być.

- Wtargnęła pani bezprawnie?

- Tak - przyznała, patrząc na niego badawczo. Jej nieufne spojrzenie zirytowało go. Czyżby wyglądał na kogoś, kto pragnąłby donieść o tym stewardesie? Najwidoczniej jego wysiłki, żeby pozbyć się wyglądu sztywnego technokraty, spełzły na niczym. Nieogolona twarz nic zrobiła z niego hipisa.

- Powodzenia - powiedział i odsunął się na bok, żeby ją przepuścić. W tym momencie samolot niespodziewanie zaczął skręcać i obniżył lot. Kobieta zachwiała się i straciła równowagę. Rozejrzała się nerwowo, szukając czegokolwiek, żeby się przytrzymać, jednak było już za późno.



Steven błyskawicznie wyciągnął ręce i chwycił ją w ostatniej chwili. Pomyślał, że wreszcie jego treningi dżudo znalazły jakieś praktyczne zastosowanie. Kobieta, którą trzymał w ramionach, była lekka i delikatna. Jej pachnące włosy przesunęły się po jego ustach. Steven przełknął ślinę. Przez okna zjrzały do kabiny promienie słońca, oświetlając rude włosy kobiety, która z każdą chwilą wydawała mu się bardziej atrakcyjna.

- Bardzo przepraszam - powiedziała, czerwieniąc się.

- Żaden problem - zapewnił.

- Mam nadzieję, że nie uderzyłam pana - mówiła z akcentem, którego nie mógł rozpoznać.

- Ależ nie - zapewnił Steven. Był zaskoczony, że kogoś może obchodzić, czy coś mu dolega. Zwykle wszyscy traktowali go jak istotę odporną na wszelkie ciosy. Tymczasem jego boginii nadal próbowała się tłumaczyć.

- Zachowałam się bardzo niezdarnie.

- Stanałam pani na drodze. Proszę się nie przejmować.

- Po prostu zamyśliłam się - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem.

- Znam to uczucie - przyznał szczerze. - Kiedy podróżuję samolotem, staram się przemyśleć różne sprawy. Odrywam się od rzeczywistości. Lądowanie jest jak szok: znów trzeba wracać do prawdziwego życia.

Roześmiała się ciepło i serdecznie, jakby jego uwaga sprawiała jej przyjemność.

- Ma pan rację - przyznała z przekonaniem. Spojrzał na nią z radością. Była zmęczona, ale uśmiechnięta i miła. Dawno nikt nie wydał mu się tak sympatyczny. Zupełnie nie miał ochoty zakończyć rozmowy.

- Pani leci do Anglii po raz pierwszy? - spytał.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, ale nie byłam tam od lat. Chętnie ponownie zwiedzę Tower i inne zabytki, jeśli wystarczy mi czasu.

- Brak czasu? Czyli to wyjazd w interesach?

- Można tak powiedzieć - przyznała. Zauważył, że gdy się uśmiechała, w jej policzkach pojawiały się dołeczki.

- Jeśli planuje pani zwiedzanie, warto pojechać do Oksfordu. Niektóre budynki uniwersytetu wyglądają jak z bajki.

Roześmiała się głośno.

- Świetna reklama. Miasto pana zatrudnia, by przyciągał pan turystów?

- Nie. ja tam mieszkam - odpowiedział, patrząc z uśmiechem w jej piwne oczy. - To miasto jest prawdziwą perłą. Naprawdę warto tam zajrzeć, oczywiście jeśli jeszcze nie miała pani okazji.

Pokręciła głową.

- Nie pamiętam.

- Amnezja? - spytał zaintrygowany.

- Nie miałabym nic przeciw utracie pamięci - stwierdziła z westchnieniem. - Urodziłam się w Anglii. Gdy miałam pięć lat, zmarła moja matka. Wtedy ojciec zabrał mnie ze sobą za granicę.

- Już nigdy pani nie wróciła? - spytał zaciekawiony.

- Nigdy na długo. Kiedyś dawno temu przyjechałam z wycieczką szkolną, ale nie było to miłe doświadczenie.

- Przerwała na chwilę. - Właściwie dlaczego mam to ukrywać? Moja rodzina poróżniła się, jedna ze stron konfliktu mieszkała w Anglii.

Steven ułożył usta, jakby miał zamiar zagwizdać.

- Poważna sprawa. Nie sądziłem, że jeszcze ludziom chce się bawić w zadawnione właśnie rodzinne. Co prawda skoro nie mam rodziny, to nie powinienem się wypowiadać na ten temat.

- Gratuluję. Dzięki temu ma pan święty spokój.

Roześmiał się rozbawiony.

- Czyli to podróż w celu zawarcia pokoju?

- Właściwie nie, ale już zaczęłam się nad tym zastanawiać - odpowiedziała ostrożnie. - Najpierw musiałabym zacząć długie poszukiwania. Nie wiem, od czego zacząć.

Steven spojrzął na jej delikatne usta.

- Jestem pewien, że potrafi pani poradzić sobie z o wiele bardziej skomplikowanymi sprawami - stwierdził.

- Tak mi mówiono - przyznała z uśmiechem. - Tyle że oni być może nie zechcą ze mną rozmawiać. Ten spór ciągnie się od wielu lat.

- W każdym razie jedzie pani do Anglii nie tylko jako turystka. To powrót do rodzinnego gniazda - powiedział, sięgając do kieszeni po wizytówkę.

Wzdrygnęła się. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Nie sądzę - stwierdziła.

Musi chodzić o mężczyznę, pomyślał Steven. Może uciekała przed nieudanym związkiem lub kochała kogoś, kto nie odwzajemniał jej uczuć? Z nieokreślonego powodu Steven nie był zachwycony myślą, że w jej życiu może być jakiś mężczyzna. Nie, nie da jej wizytówki. Jej sprawy nie powinny go obchodzić. Oprócz tego nie należał do podrywaczy, a la piękność nie sprawiała wrażenia kobiety, która umawia się 7. przygodnie poznanymi ludźmi. Nie jesteś hersztem pi-

ratów i nie masz okrętu, na który mógłbyś ją porwać, pomyślał kpiąco. Ogoł się, zawiąź krawat i wracaj szybko do rzeczywistości!

Cofnął się i uśmiechnął uprzejmie i zdawkowo. Znow stał się niedostępnym, twardym Stevenem Konigiem.

- Cóż, życzę szczęścia - powiedział na pożegnanie.
- Dziękuję.

Uznał, że szkoda czasu na marzenia o kobietach. Miał trzydzieści dziewięć lat i był odpowiedzialny za los wielu osób. Nie mógł sobie pozwolić na bujanie w obłokach. To dobre dla nastolatków, pomyślał.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Pepper umyła zęby i zrobiła, co mogła, żeby doprowadzić fryzurę do porządku. Pomyślała, że musiała wyglądać jak straszycyło, jeśli ten mężczyzna tak jej się przyglądał. Biedaczek, niemal go przewróciłam. Świetnie, Pepper. Spotykasz wreszcie człowieka, któremu nie kojarzysz się z milionami Calhounów i od razu chcesz zrobić mu krzywdę! Właściwie chętnie poszłaby z kimś takim na randkę. Co prawda niczego jej nie zaproponował, ale chyba nikt nie umawia się na randki w samolocie. Jednak przez krótki moment odniosła wrażenie, że ten mężczyzna był nią zainteresowany.

Przypomniała sobie chwilę, gdy ją objął. To było coś więcej niż niewinny gest. Poczuła wtedy zauroczenie i pożądanie. Zaschło jej w ustach. Nie zdarzały jej się takie uczucia wobec obcych, dlatego trochę się zmieszała. Dobrze, Pepper. Miałaś chwilę zapomnienia. Jednak powiedzmy sobie szczerze, dziś nie wyglądasz najlepiej i nie było powodu, żeby zainteresował się tobą. Przypomnij sobie fakty. Wpadłaś na niego, a on zachował się uprzejmie: nie zaczął wyć z bólu i nie groził, że poda cię do sądu. Czy to nie wystarczy na początek? Ostatecznie, było to pierwsze miłe wydarzenie od tygodni.

Wróciła na miejsce z uśmiechniętą miną. Siedząca obok gadatliwa pasażerka natychmiast wszczęła z nią rozmowę.

Była to starsza pani z Montany po raz pierwszy odwiedzająca Londyn. Przyznała, że tak naprawdę nie leciała samolotem na tak długiej trasie. Ciągłe wyglądała przez okno, pochylając się nad Pepper, jednak odmówiła, gdy ta zaproponowała jej zamianę miejsc.

- Naprawdę wielkie miasto - stwierdziła z zachwytem, gdy podchodzili do lądowania na lotnisku Heathrow. W kabinie panowało ożywienie. Stewardesy roznosiły słodkie bułeczki i sok pomarańczowy. Dla Pepper rozpoczynało się nowe życie. Myślała o tym, co powiedział jej tamten Anglik. Może rzeczywiście powinna poszukać tutejszych krewnych? Nie miała pojęcia, czy będzie to trudne zadanie, ale przecież miała dużo wolnego czasu.

Tymczasem starsza pani siedząca obok znów zaczęła swój monolog. Przyznała, że jest bardzo przejęta, bo przyjechała tu, by wreszcie poznać zięcia i wnuki.

- Moja babcia nigdy niczym się nie przejmuje - oznajmiła Pepper.

- Musi być bardzo dzielną osobą - powiedziała tamta.

- Nikt nigdy jej się nie sprzeciwiał, więc nie miała wielu powodów do zmartwień - stwierdziła cierpko i od razu poprawił jej się humor. Wyprostowała się w fotelu.

Tymczasem samolot dotknął kołami pasa i rozległ się zgrzyt olbrzymich hamulców. Starsza pani z Montany zbladła, wstrzymując oddech. Pepper odruchowo wzięła ją za rękę.

- Wszystko w porządku - zapewniła. - Zawsze przy lądowaniu jest taki hałas.

- Dziękuję. Tak się domyślałam, ale... Jest pani bardzo miła.

Pepper zdała sobie nagle sprawę, że poza rodziną Calhou-

nów ludzie bywali dla siebie mili, dobrzy i uprzejmi, nie oczekując niczego w zamian. Uprzejmy był mężczyzna, na którego wpadła. Teraz ta kobieta dziękowała jej za gest, który jej babka uznałaby za przesadnie sentymentalny.

- Rodzina będzie na panią czekać? - spytała.

- Mam nadzieję, ale może ich jeszcze nie być, bo przyjechaliśmy przed czasem.

- Popychał nas silny wiatr nad Atlantykiem. Zdarza się. Chętnie poczekam z panią na lotnisku, dopóki córka nie przyjedzie.

- Naprawdę? - spytała tamta z niedowierzaniem, jakby wygrała los na loterii. - Na pewno jest pani już z kimś umówiona.

- Nie - zapewniła Pepper. - Z przyjemnością zostanę.

Jednak na lotnisku niewiele brakowało, żeby dobre intencje obróciły się przeciwko niej.

- Pani Calhoun? - usłyszała za plecami. Odwróciła się odruchowo. Był to dziennikarz, którego już kiedyś miała okazję poznać.

- Tak myślałem, że to pani - mówił dumny ze swojej spostrzegawczości. - Siedziałem za panią.

Pepper zagryzła wargi. Udało jej się wyjechać bez wzbudzenia dziennikarskich plotek. Bardzo jej zależało, żeby nikt nie wiedział o jej obecności w Londynie.

- Co panią tu sprowadza? - indagował dalej. - Czyżby rodzina Calhounów zamierzała wykupić jakąś brytyjską firmę?

- Witam, panie Franks - powiedziała z udawaną obojętnością. - Nie przyjechałam tu w interesach - oznajmiła. Nagle przypomniała sobie rozmowę z nieznanym w samolocie. - Mam w Anglii rodzinę - dodała pospiesznie.

- Naprawdę? - Reporter spojrział z niedowierzaniem.

- Tak - zapewniła. - Od dawna nie miałam urlopu i teraz wreszcie chciałabym odwiedzić krewnych i trochę odpocząć. Londyn wiosną jest naprawdę piękny.

Zacisnął usta. Najwyraźniej uznał, że nie brzmi to zbyt przekonująco. Jednak Pepper na codzień miała do czynienia z wścibskimi dziennikarzami i nie zamierzała powiedzieć słowa więcej. Jej wymuszony uśmiech wyraźnie oznaczał koniec rozmowy.

- Cóż, życzę miłego pobytu. Gdyby jednak miała pani kiedyś ochotę porozmawiać, proszę o telefon - powiedziała, podając jej wizytówkę. Natychmiast pomyślała o nieogolonym mężczyźnie w samolocie. W pewnej chwili wydawało jej się, że tamten poda jej swoją wizytówkę. Byłby to jej moment triumfu: mężczyzna, który nie wie, że rozmawia z dziedziczką majątku Calhounów, daje jej swój numer telefonu!

- Dziękuję - powiedziała Pepper. Pomyślała, że gdyby wiedział, jak się rzeczy mają, nie zamieniłby z nią ani jednego słowa.

Na ruchomej taśmie pojawiły się bagaże. Pepper skinęła głową na pożegnanie.

- Przepraszam, ale obiecałam pomóc komuś, kto jest w Londynie po raz pierwszy. Do widzenia, panie Franks. Było mi miło.

Steven rozglądał się za wspaniałą, rudowłosą kobietą spotkaną w samolocie. Ludzie tłoczyli się, odbierając bagaże i znalezienie jej byłoby cudem. Jednak nie zrezygnował. Na dodatek zaczął go Martin Tammery, namawiając do udziału



w programie telewizyjnym. Sprzeczał się przy tym zawzięcie z Sandym Franksem. Chodziło o jakąś kobietę, zauważoną w tłumie pasażerów. Nazywali ją Tygrysiatką. Steven nie słuchał ich. Interesowała go niedawno poznana bogini, a nie jakiś dziki futrzak. Ciągłe obserwował tłum. Przecież nie mogła się rozpuścić?

- Myślisz, że przyjechała na dłużej? - spytał Martin Tammer z przebiegłą miną. - Chętnie zrobiłbym z nią wywiad w moim programie.

Sandy Franks wydał usta.

- Musisz szybko działać. Ona nigdy nie siedzi długo w jednym miejscu.

- Tak, ale jak mam ją znaleźć?

Sandy'emu rozbłyły oczy.

- Zaproś mnie do programu, a może zdołam ci pomóc. Mam różne kontakty.

- Widzisz, Steven? Z takimi ludźmi będziesz musiał obcować, jeśli u mnie wystąpisz - powiedział Martin z uśmiechem. - Tobie też mogę zaproponować interes: jeśli zaproszę Pepper Calhoun razem z tobą, przestaniesz się wreszcie kręcić i gapić?

- Nie mam pojęcia, kto to jest Pepper Calhoun - stwierdził Steven, nie odrywając oczu od tłumu.

Obaj dziennikarze spojrzeli na niego z niedowierzaniem, ale nie zwracał na nich uwagi. Właśnie zauważył czerwoną sukienkę za transporterem pełnym walizek. Natychmiast ruszył w tamtym kierunku. Niestety, znów pudło. Nie było tam rudowłosej Wenus z nieśmiałym uśmiechem. Pomyślał, że powinien poprosić ją o numer telefonu, gdy miał na to szansę. Niepotrzebnie zastanawiał się, czy wypada to zrobić.

Mógł przynajmniej dać jej wizytówkę. Tamci dwaj dogonili go, sapiąc z wysiłku.

- Steven, wystąpisz w inauguracyjnym programie? Razem studiowaliśmy, mógłbyś to dla mnie zrobić.

Żegnajcie marzenia, pomyślał Steven.

- Przyślij konkretną propozycję - powiedział cicho. - Sprawdź, kiedy będę wolny.

- Świetnie. Liczę na ciebie - powiedział Martin Tammer, nie posiadając się z radości.

Steven pociągnął walizkę na kółkach w stronę postoju taksówek. Zgodził się zabrać dziennikarzy do śródmieścia. Pomyślał z goryczą, że na niego zawsze wszyscy mogą liczyć. Koledzy szkolni, Kplant, organizatorzy konferencji i wykładów - każdy wiedział, że Steven nie odmówi. Jednak teraz chętnie rzuciłby wszystko, byle tylko odnaleźć kobietę poznaną w samolocie. Ciekawe, co by się stało, gdybym dał jej wizytówkę? - zastanawiał się. Czy zgodziłaby się na spotkanie? Może teraz jechalibyśmy razem do miasta? Wreszcie zaczęło do niego docierać, że kompletna rezygnacja z życia osobistego była jego największym błędem. Po raz pierwszy zaczął tego żałować.

Pepper z zaskoczeniem przekonała się, że życie niezamężnej osoby może być całkiem znośne. Chwilami nawet radosne. Na przykład teraz nie musiała się w ogóle zastanawiać, jak babka oceni jej kolejny krok. Dotychczas korzystała wyłącznie z pięciogwiazdkowych hoteli rezerwowanych przez niezawodną Carmen. Samodzielne znalezienie niedrogi noclegu było więc teraz prawdziwym wyzwaniem i miłą przygodą.

Z ulgą stwierdziła, że jest to jak najbardziej wykonalne. Co prawda recepcjonistka pozwoliła jej się wprowadzić po południu, ale Pepper postanowiła walczyć.

- Jestem wykończona - tłumaczyła, ziewając szeroko. Wyciągnęła ostatnią kartę kredytową. - Mogę nawet zapłacić za poprzednią noc, tylko proszę mi pozwolić iść spać.

Szerokie ziewnięcia wypadły przekonująco, a może recepcjonistka miała niespodziewany atak dobroci, w każdym razie już po dziesięciu minutach Peper leżała, na twardym łóżku, czując, że powieki same jej opadają.

- Rozwiązałam pierwszy problem - szepnęła. - Mary Ellen może się wypchać.

Spała do wieczora. Potem wstała, wyszła na krótki spacer w świetle latarń i znów wróciła do łóżka.

Następnego ranka wstała pełna energii. Nieogolony mężczyzna o wyglądzie pirata, którego poznała w samolocie, powiedział jej, że na pewno dałaby sobie radę z każdą skomplikowaną sprawą. Postanowiła się przekonać, czy miał rację. Powoli zaczęła układać plan działania. Kupiła telefon komórkowy i odnowiła stare kontakty. Pod koniec dnia udało się jej namówić dawnego znajomego, by przejrzał finansowe założenia jej pomysłu „Prosto z Poddasza”. Inny zaproponował, że poznają z kilkoma osobami. Znalazła też tymczasową pracę. Miała tylko wpisywać teksty do komputera, ale pensja powinna wystarczyć na podstawowe wydatki.

Zdecydowała się na jeszcze jeden krok, który zaskoczył ją samą. Zaczęła szukać prawnika, który przed laty występował w imieniu rodziny jej matki. Przejrzała mnóstwo starych dokumentów, które przetrwały w jej laptopie. Wreszcie znalazła odpowiedź na jego pismo.

- Napisz, że nie chcesz mieć z nimi nic wspólnego - poleciła jej wtedy Mary Ellen i Pepper posłusznie to zrobiła.

Teraz, zwracając się do niego, czuła się niezręcznie. Wstydziała się tamtego listu. Mimo wszystko zdecydowała się zatelefonować. Mężczyzna rozmawiał z nią chłodno, ale nie odmówił spotkania.

- To dla mnie ogromna niespodzianka - powiedział, gdy weszła. - Pani Calhoun zawsze uparcie twierdziła, że nie życzy pani sobie utrzymywać kontaktów z rodziną Dare'ów.

- Kiedyś tak było w istocie.

Nadal spoglądał na nią sceptycznie.

- Zostałam wydziedziczona - dodała bez ogródek.

- Rozumiem - powiedział, zaciskając usta. - Czego konkretnie chce pani od rodziny Dare'ów?

Pepper zaczerwieniła się.

- Na pewno nie pieniędzy, jeśli tego pan się obawia - powiedziała. Nigdy jeszcze nikt nie posądził jej o interesowność. - Potrafię na siebie zarobić. Pomyślałam po prostu, że jeśli ktoś z rodziny mojej matki chciałby ze mną porozmawiać, to będę przez pewien czas w Londynie. Można byłoby któregoś dnia spotkać się przy kawie. To wszystko.

- Rozumiem - powiedział prawnik w zamyśleniu.

- Widzi pan, ja nie pamiętam matki. Ostatnio dużo o tym myślałam - mówiła powoli. - Chciałabym spotkać się z ciotką. Te rodzinne niesnaski ciągną się już zbyt długo. Nawet nie wiem, o co poszło.

- Zapytam - obiecał prawnik i uśmiechnął się po raz pierwszy w czasie tej rozmowy.

Prawdopodobnie nie zwlekał z pytaniem, bo wieczorem w hotelu zadzwonił telefon.

- Pepper? - rozległ się radosny głos. - Naprawdę nie mogę uwierzyć. Cieszę się, że po tylu latach mam okazję wreszcie z tobą pogadać.

- Kto mówi? - zaczęła Pepper i natychmiast przerwała. Doskonale знаła ten głos. Do dziś zdarzało się jej słyszeć go we śnie. „Chodź, co z tego, że się ubrudzisz? Zobaczysz zimorodki”.

- Isabel? - zawołała z niedowierzaniem. Wydawało jej się, że śni. Babka kiedyś straszyla Pepper, że zaprowadzi ją do psychiatry, jeśli wnuczka nie przestanie wspominać Isabel.

- Izzy? Izzy, to naprawdę ty?

Śmiech Izzy nie zmienił się przez lata. Poznały się, gdy były jeszcze dziećmi. Izzy miała około ośmiu lat i była cała ubłocona. Pepper zjawiła się w najnowszej sukience i w głębi duszy marzyła, żeby też ją pobrudzić.

- Jasne, że ja - potwierdziła Isabel Dare. - Podobno przyjechałaś do Angli na trochę dłużej. Masz ochotę wpaść i zabawić się?

Pepper zerknęła w lustro na przeciwległej ścianie. Zobaczyła swoją uśmiechniętą twarz.

- Są tam jakieś rowy, których nie zwiedziłyśmy?

- Jeszcze pamiętasz? - Izzy zachichotała z radości. - Mam jeszcze lepszy pomysł. Chciałabyś pomieszkać z kuzynkami?

Pepper nigdy nie wynajmowała mieszkania z kimś na spółkę. Swoją pokój w rezydencji Calhounów opuszczała, dopiero gdy była odpowiednio ubrana i perfekcyjnie uczesana. Natomiast Isabel i Jemima paradowały po mieszkaniu

w bieliźnie i z lokówkami na głowach. Wzajemnie korzystały ze swoich ubrań, wymieniały się zaproszeniami, natomiast o ostatni niskokaloryczny jogurt gotowe były walczyć na śmierć i życie. W niedzielę przy śniadaniu czytały sobie wzajemnie horoskopy, wspólnie regulowały rachunki, ale kłóciły się, która powinna umyć filiżanki. Pepper ze zdumieniem obserwowała to przez tydzień.

- Mieszkałam w Nowym Joku, Paryżu i Mediolanie, ale nigdy w takim kompletnym chaosie - stwierdziła wreszcie.

- To musi być dla ciebie ciekawa odmiana - pocieszyła ją Izzy.

- Przecież byłaś studentką - zauważyła Jemima ze zdziwieniem. - Wszyscy studenci tak żyją.

- Ale nie ja. Wszystko miałam dokładnie zaplanowane i przychodziła służąca.

- Służąca? - upewniły się chórem.

- No, ktoś do zajmowania się domem.

- Same wszystko robimy - oświadczyła Jemima.

- Chyba że zapraszasz stado znajomych - wtrąciła Izzy, śmiejąc się głośno. - Wtedy trzeba wzywać ekipę do sprzą-tania po imprezie.

Jemima odpowiedziała celnym rzutem poduszką. Później Pepper przekonała się, że Izzy miała sporo racji. Podczas gdy Izzy zapraszała przypadkowych znajomych, Jemima planowała przyjęcia jak kampanię wojenną.

- To dlatego, że jest modelką - powiedziała Izzy, gdy zostały z Pepper same. - Zarabia całkiem nieźle, ale jej agent twierdzi, że mogłaby zająć dużo wyżej. Dlatego przy każdej okazji Jemima szuka odpowiednich kontaktów.

- Kontakty są najważniejsze - zgodziła się Pepper. - Sa-

ma chęć zorganizować nową sieć handlową. Plan finansowy wygląda wspaniale, tylko brak mi kapitału.

W końcu przełamała się i zdobyła na zwierzenia. Opuściła bolesne szczegóły i nie wspomniała o randkach zorganizowanych przez Mary Ellen. Wyjaśniła tylko, dlaczego przyjechała do Londynu.

- Jeśli nic z tego nie wyjdzie, zawsze jeszcze mogę pracować jako konsultantka - tłumaczyła. - Zajmuje się tym wielu biznesmenów, którym się nie powiodło.

- Może powiesz coś więcej o tym twoim handlowym pomysle - domagała się Jemima, która przepadała za robieniem zakupów.

Pepper natychmiast ożywiła się.

- Chodzi o dwie sprawy. Najważniejsza to potraktowanie zakupów jako formy rozrywki. Musi być wygodnie, przyjemnie i miło dla oka, jakby sklep był kolekcją cennych skarbów. Nie idziesz wzdłuż nudnych półek. Odkrywasz towary wystawione w atrakcyjny sposób. Masz czuć się jak dziecko, które znajduje gdzieś na poddaszu zapomniane rodzinne pamiątki.

Jemima sceptycznie wykrzywiła usta.

- Zwykle w sklepie chodzi o to, żeby ludzie wybierali jak najszybciej i kupowali więcej, niż są w stanie udźwignąć.

- Tu też mają kupować, ale w inny sposób. Przy wejściu mogą zostawić płaszcze i torby, poprosić o kawę, spokojnie usiąść i wszystko obejrzeć.

Jemima nie wyglądała na zachwyconą.

- Okropnie dużo wysiłku, żeby sprzedać jakiś pojedynczy towar - zauważyła.

- Tak, ale większość ludzi kupi więcej niż jedną rzecz.

Oprócz tego zabiorą ze sobą katalog towarów. W ten sposób można zdobyć stałych i wiernych klientów - tłumaczyła Pepper z przekonaniem. - W takim miejscu można by urządzać wieczorne spotkania, a nawet organizować kameralne występy.

- Super - zawołała Izzy z entuzjazmem. - Zakupy i impreza jednocześnie.

Pepper skinęła głową.

- Właśnie o tym myślałam.

- Tyle że ty nie lubisz zakupów ani imprez - przypomniała Jemima.

- Co z tego? Ta propozycja nie jest dla takich ludzi jak ja. Natomiast wiem, co lubią inni.

- Jakie mają być te ciuchy? - spytała Jemima, nadal sceptycznie nastawiona.

- Nie chodzi wyłącznie o zwykłą odzież, która nadaża za chwilową modą i zmienia się zgodnie z porami roku.

- Czyli sama nie wiesz, czego chcesz - atakowała Jemima.

- Wiem - obruszyła się Pepper. - Rozmawiałam z kilkoma projektantami, którzy gotowi są współpracować. Ustaliliśmy, że chodzi o praktyczne, ale nietuzinkowe stroje.

Jemima z dezaprobatą spojrzała w sufit.

- Możesz przekonać się sama, że większość ubrań w supermarketach przeznaczona jest dla dorosłych o typowych wymiarach, którzy nie mają własnego gustu. Mnóstwo ludzi pragnie czegoś innego. Właśnie dla nich ma być moja odzież.

- Myślisz o rozmiarach dla puszystych? - jęknęła Jemima.

- Nie tylko. Zresztą, co jest złego w wielkich rozmiarach? Wiesz, jak dużo ludzi je kupuje?

Jemima otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zrezygnowała, widząc zaczepne spojrzenie Pepper.



- Dla niektórych tak wielkie rozmiary są krępujące. Chciałabym, żeby „Prosto z Poddasza” miało tak miłą atmosferę, by klienci nie czuli się ani trochę onieśmieni.

- Senne marzenie - rzuciła Jemima od niechcenia.

Pepper pozostała niewzruszona.

- Zrobiłam badania rynkowe. Kobiety czekają na coś takiego.

- Przepraszam, profesorze.

Steven błędził myślami daleko stąd. Stał przy wysokim oknie wychodzącym na czworokątny dziedziniec. Kto inny zwróciłby uwagę na średniowieczne mury w ciepłym, kremowym odcieniu, misternie zdobione okna, a przed nimi doskonale zadbane trawnik. Steven widział jedynie popękane kamienne ściany, zapchane rynny i dach wymagający naprawy. College Królowej Małgorzaty był starodawną instytucją i mieścił się w zabytkowym budynku. Niestety, coraz bardziej popadał w ruinę.

Valerie Holmes pracowała tu jako sekretarka jeszcze w czasie, gdy Steven Konig zdawał pierwsze egzaminy. Teraz spojrzała na niego ze współczuciem. Biedaczek, pomyślała. Nie był typowym profesorem akademickim, jakiego stara kadra chętnie przywitałaby w swym gronie. Nie był też ulubieńcem mediów, z którym politycy chętnie chcieliby się fotografować. W rezultacie nie lubiły go obie strony, a on doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Zakaśtała znacząco.

- Profesorze?

Steven drgnął i odwrócił się z przepraszającym uśmiechem.

- Ach, to ty, Valerie. Samochód z telewizji już przyjechał?

Zaproszono go, żeby udzielił wywiadu. Nie znosił takich wystąpień, ale odpowiadał za wydział, którego siedziba popadała w ruinę. Każda okazja była dobra, żeby zwrócić uwagę ewentualnych sponsorów.

Jednak Valerie najwyraźniej nie chodziło o samochód.

- Nie. Będą dopiero za godzinę.

Steven westchnął i przejechał dłonią po włosach. Powinam przypomnieć mu, żeby poszedł do fryzjera, pomyślała Valerie. Dobrze, że przynajmniej zdążył się ogolić. Czasem, gdy zaczynał dzień od porannego biegania, zjawiał się na uczelni zarośnięty jak latynoski partyzant, który na chwilę wychynął z dżungli.

Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

- Nie przejmuj się, Val. Dokładnie przeczytałem twoje notatki. Rozmowa nie zapowiada się zbyt interesująco - stwierdził. Poszedł do biurka, które w ciągu dwóch ostatnich godzin zdążył zasłać różnymi dokumentami. Po chwili udało mu się odnaleźć kartki, starannie zapisane przez Valerie.

- Świetne pomysły i mizerne efekty - przeczytał głośno.

- Dyskusję prowadzi jakiś Gordon Ramsden, który według twoich notatek jest strasznym nudziarzem. Jeszcze gorzej zapowiada się ta amerykańska konsultantka Penelope Anne Calhoun.

- Panie profesorze. - Valerie bezskutecznie usiłowała mu przerwać.

- Najmłodsza z rodu Calhounów - czytał dalej. - Wiceprezes Calhoun Carter do czasu rozpoczęcia studiów. Teraz ma dwadzieścia osiem lat i już wie, jak stworzyć kwitnącą firmę? Co za bzdura! Wie, jak zdobyć kapitał? Przecież ona

dostała swój na talerzu. Założę się, że nie wymyśliła niczego nowego.

- Steven - wtrąciła w końcu Valerie podniesionym głosem. - Przy portierni czeka kobieta, która twierdzi, że jesteś ojcem jej dziecka.

Steven natychmiast przerwał wypowiedź na temat panny Calhoun. Spojrzał przed siebie pustym wzrokiem.

- Podobno bardzo nalega na widzenie się z tobą. Woźny próbował jej to wyperswadować, ale bez skutku - powiedziała łagodnym tonem. Steven nadal milczał.

- Steven, tam ciągle kręcą się studenci. Pomyśl, jaki może być skandal - dodała głośniejszym głosem. Spojrzał na nią trochę przytomniej.

- Bardzo mi przykro, profesorze - wróciła do oficjalnej formy, widząc, że wreszcie zareagował.

- Czy ta kobieta powiedziała, jak się nazywa? - spytał w końcu.

- Podała imię: Courtney.

- Aha.

- Powiedziałam woźnemu, że jesteś bardzo zajęty, wyjeżdżasz do Londynu i powinna zadzwonić i umówić się na spotkanie. Jednak ona nie chce wyjść.

- Nie, ona nie wyjdzie - potwierdził beznamiętnie.

A więc zna ją! Może to' wszystko prawda? - pomyślała Valerie. Jednak jakoś nie mogła w to uwierzyć. Steven Konig nie był zbyt wylewny, ale gotowa była przysiąc, że nie porzuciłby własnego dziecka.

- Ile mam jeszcze czasu, nim będę musiał słuchać głębokich przemyśleń Penelope Anne Calhoun na temat prowadzenia biznesu?

Valerie roześmiała się głośno. Zdawała sobie sprawę, że Steven był ceniony wśród ludzi zajmujących się poważnymi interesami i nie potrzebował pouczeń.

- Samochód ma przyjechać o jedenastej - poinformowała.

- Świetnie. Zrobiłem trochę notatek - powiedział, podając jej dyskietkę. - Są tutaj. Mogłabyś je dla mnie wydrukować? Zejdę na portiernię do pani Underwood.

- Do kogo?

- Ta pani nazywa się Courtney Underwood. Była żoną Toma. Pewnie go pamiętasz. Potężny facet, alpinista. Wykładał chemię. Zginął w Andach cztery lata temu.

- Pamiętam, oczywiście - potwierdziła Valerie.

- Jestem ojcem tego dziecka, ale tylko chrzestnym - powiedział smutno. - Nie widziałem matki i dziewczynki całe lata. Ani Tom, ani ona nie byli zbyt towarzyscy.

- Rozumiem.

- Kamień spadł ci z serca? - spytał z sarkazmem.

- To nie moja sprawa - stwierdziła, choć w głębi duszy odczuła ulgę. Uczelnia miała dość kłopotów z powodu braku funduszy i skandal mógł tylko pogorszyć niewesołą sytuację. Oprócz tego Steven nie zasłużył sobie na coś takiego.

Uśmiechnął się lekko.

- Val, zdaje się, że zwątpiłaś w moją reputację. Trudno. Nie mam pretensji. Zaraz spróbuję się pozbyć Courtney, a potem pojedę do studia w Wandsworth, by przyczynić się do chwały naszej uczelni - powiedział pogodnym tonem i zniknął za drzwiami. Zbiegł po schodach tak szybko jak w studenckich czasach.

Owdowiała pani Courtney Underwood nic nie straciła ze swej urody. Steven zauważył to natychmiast, gdy zatrzymał się na chwilę przy wejściu do portierni. Courtney z ożywieniem tłumaczyła coś woźnemu. Wyglądała zupełnie jak pewnego poranka, gdy oświadczyła Stevenowi, że zamierza poślubić Toma: błyszczące, kruczoczarne włosy, zmysłowe, wydatne usta. Znękany woźny słuchał jej z udręczoną miną. Steven spojrział na niego ze współczuciem. Znał Courtney i wiedział, że potrafiła zapędzić każdego w kozi róg.

- W porządku, panie Jackson. Ja zajmę się tą sprawą.

Courtney odwróciła się natychmiast jak rozdrażniony wąż. Jak za dawnych czasów, pomyślał Steven. Courtney zawsze musiała panować nad sytuacją. Nie znosiła, żeby ktokolwiek lub cokolwiek ją zaskakiwało.

- Steven, kochanie! - zawołała. Kilku studentów sprawdzających swoje skrytki na listy bez żenady zaczęło się gapić na profesora i jego czarującego gościa. Courtney natychmiast rzuciła mu się w ramiona, nie zwracając uwagi na otoczenie. No tak, nadal ubóstwia publiczność. Udaje, że nikogo nie widzi. Nic się nie zmieniła, pomyślał Steven. Nagle przypomniała mu się piękność z samolotu, zawstydzona, nieśmiała i nieświadoma swej atrakcyjności. To o dziwo dodało mu sił.

- Cześć, Courtney - powiedział na tyle obojętnie, na ile potrafił.

- Cześć, Courtney? - powtórzyła, przedrzeźniając go. Odchyliła się i spojrzała mu w oczy z wyrzutem. - To wszystko, na co zasłużyłam?

Jakby dla wyjaśnienia, o czym. mówi, wsunęła mu ręce pod ciemnoszarą marynarkę. Przez koszulę poczuł dotyk gorących dłoni. Tak, nic się nie zmieniła. Cudowna skóra i bar-

dzo długie rzęsy. Stary numer z lekko zażawionymi oczami, żeby błyszczały jak brylanty, ale łza nigdy z nich nie spływała, bo mogłyby się zaczerwienić. Usta lekko rozwarłe do pocałunku.

Steven nie pocałował jej na powitanie. Kiedyś spojrzenie tych błyszczących oczu pozwalało jej robić z nim, co chciała. Wiedziała o tym doskonale. Courtney szybko nauczyła się, że urodą może zawojować świat. Gdy opuściła go, by wyjechać do Indii z bogatym, lekkomyślnym Tomem, myślał, że tego nie przeżyje.

Jednak minęło już piętnaście lat. Zapewne nawet Courtney, która potrafiła nie przyjmować do wiadomości niewygodnych dla siebie faktów, musiała zdawać sobie sprawę, że Steven Konig uwolnił się już spod jej wpływu. Teraz odsunął jej dłonie i cofnął się.

- Chodźmy do mojego pokoju.

Zmysłowo poruszyła biodrami.

- Brzmi obiecująco.

Zachował kamienną minę.

- Spokojnie, to tylko biuro.

Poprowadził ją przez wietrzny zewnętrzny dziedziniec pełen kręcących się studentów.

- Doskonale pamiętam to miejsce - stwierdziła Courtney, rozglądając się wokół. Steven poczuł narastającą złość.

- Zdziwiasz mnie.

Spojrzała zaskoczona.

- O co ci chodzi?

Odczekał chwilę, żeby zapanować nad emocjami.

- O ile się nie mylę, przyszłaś tu tylko raz na bal. Pamiętasz? Poderwałaś wtedy Toma.

- Steven! - udała szczerze oburzoną. - Chyba nie masz mi tego za złe po tylu latach?

Najwyraźniej była z siebie zadowolona. Steven natychmiast pożałował, że nie ugryzł się w język.

- Po prostu przypominam fakty - oświadczył chłodno. Roześmiała się. Kiedyś jej dziewczęcy chichot wydawał mu się czarujący. Teraz tylko zacisnął zęby.

- Och, Steven! Nadal przejmujesz się szczegółami.

- Fakty są dla mnie istotne.

Zmarszczyła brwi z irytacją. Na chwilę straciła czarujący wygląd. Było to coś nowego, choć musiał przyznać, że dawnej nie zdarzało mu się z nią sprzeczać.

- Nie przychodziłaś tutaj. Mało tego, nie podobało ci się, że studiuję. Robiłaś na ten temat złośliwe uwagi, więc przestań błaznować - powiedział spokojnie. - Teraz tędy - dodał, wskazując jej przejście pod ceglany łukiem.

Czuł na sobie jej wzrok.

- Bardzo się mylisz - zapewniła łagodnym tonem. - Niczego nie muszę zmyślać. Pamiętam wszystko - dodała z naciskiem, jakby chciała przywołać intymne wspomnienia. Tę sztuczkę także pamiętał. Znow poczuł narastającą wściekłość. Miał trzydzieści dziewięć lat i przez ostatnie piętnaście udawało mu się unikać zaczepek kobiet pokroju Courtney.

- Cieszę się - stwierdził krótko.

Chwyliła go za rękę. Zatrzymali się obok ceglanej ściany. Courtney spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Świetnie pamiętam tamten bal - szepnęła, podchodząc bliżej. - Całowaliśmy się dokładnie w tym miejscu.

Poczuł drażniący, ostry zapach jej perfum. Dawniej używała zupełnie innych. Steven poczuł lekki zawrót głowy.

Tak, pamiętała wszystkie sztuczki. Po tamtym balu, gdy ją spotykał, zawsze potrafiła rzucić go na kolana jakąś pieszczotliwą uwagą, intymnym gestem. Nie chciał tego, a jednocześnie nie potrafił zapomnieć. W końcu zaczął unikać spotkań z nią i Tomem. Tak było łatwiej.

- Przekonałam cię? - spytała Courtney zalotnym tonem. Steven cofnął się o krok.

- Nigdy nie całowaliśmy się pod tym łukiem - stwierdził zdecydowanie. - Korytarz prowadzi wyłącznie do biura. Dwadzieścia lat temu nie miałem powodu tu przychodzić.

Odwrocił się z niesmakiem. Zdawał sobie sprawę, że Courtney za chwilę znów coś wymyśli, żeby wybrnąć z sytuacji. Była w tym doskonała. Otworzył ozdobną furkę. Znaleźli się w najstarszej części uczelni, średniowiecznej wieży ze spiralnymi schodami. Groźne, kamienne potwory strzegły wejścia. Zwykle Steven uśmiechał się na ich widok, jednak teraz nawet na nie nie spojrział.

Zajrzał do pokoju sekretarki.

- Valerie, idę na chwilę do gabinetu z panią Underwood. Czy moglibyśmy dostać kawę? Zawiadom mnie, gdy przyjedzie samochód.

Otworzył drzwi do gabinetu, cofnął się, żeby przepuścić Courtney. Znów poczuł silny, duszący zapach perfum. Zamknął drzwi i szybko przeszedł przez pokój, żeby szeroko otworzyć okno.

- Proszę, siadaj - powiedział. Usadowił się tak, żeby oddziało ich jak najwięcej sprzętów. - Zaskoczyła mnie twoja wizyta. Właściwie, co robisz w Oksfordzie?

Była wystarczająco bystra, żeby domyślić się, dlaczego



usiadł tak daleko od niej. Poczekała, aż jej oczy napełnią się łzami.

- Steven, nie bądź taki oschły i niemiły - powiedziała z wyrzutem, przeciągając słowa. Dawniej nabierał się na ten ton, ale teraz nie miał czasu na takie głupstwa. Za czterdzieści pięć minut powinien już być w drodze.

- Courtney, czego chcesz? - spytał krótko.

Zatrzepotała długimi rękami. Już nie robiło to na nim wrażenia. Zdążył poznać wiele kobiet. Wiele stosowało ten czarujący, drobny trik. Znow pomyślał o nieśmiałej dziewczynie z samolotu, która nie siliła się na żadne sztuczki.

- Och, Steven -. westchnęła Courtney, nie zauważając, że jej występ nie robi już na nim wrażenia. - Po tylu latach nadal czujesz się urażony?

Spojrzał na zegarek.

- Proponuję, żebyś wreszcie powiedziała, w czym rzecz - poprosił uprzejmym tonem. - Mam spotkanie w Londynie. Zaraz przyjedzie po mnie samochód.

Patrząc mu w oczy, zwilżyła usta językiem. Pamiętał to zachowanie, a jednak nadal na niego działało. Zauważyła jego spojrzenie.

Odeślij samochód - powiedziała ochrypłym głosem.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Courtney, naprawdę myślisz, że zawsze postawisz na swoim?

Szeroko otworzyła piękne, niebieskie oczy.

- Byłeś dla mnie za mądry.

- To zależy, jak rozumiemy mądrość - powiedział, szydząc z własnej naiwności sprzed lat. - O co chodzi tym razem? O pieniądze?

Zmarszczyła czoło z irytacją.

- Stałeś się taki wyrachowany. Zupełnie cię nie poznaję.
- Cóż, życie jest ciężkie. Dziwię się, że wychowując dziecko, jeszcze się o tym nie przekonałaś.

Pochyliła głowę. Jej włosy błyszczały, oświetlone promieniem słońca padającym przez witrażowe, wiktoriańskie okno. Steven zaczął się zastanawiać, czy w tym momencie świadomie upozowała się na niewinną świętą.

- Szczerze mówiąc, z tego powodu tu przyszedłam. Muszę z tobą porozmawiać o Windflower - powiedziała wzniosłym tonem.

Zmrużył oczy, szykując się do walki.

- Tak?

Po śmierci Toma, Courtney zjawiła się w domu jego matki, twierdząc, że jest bez grosza. Steven był wtedy w Australii. Gdy wrócił, odwiedził starszą panią Underwood. W tym czasie wiele się zmieniło. Zmarł ojciec Toma, a matka znalazła się na skraju bankructwa. Opiekowała się wnuczką, a Courtney każdy wieczór spędzała w drogich lokalach. Odwozili ją pod dom panowie w eleganckich limuzynach z przyciemnionymi szybami.

- Courtney to zwykła wesz - powiedziała wprost pani Underwood. - Już dawno bym ją wyrzuciła, ale Windflower jest moją wnuczką. Biedne dziecko. Steven, jesteś jej ojcem chrzestnym. Na litość boską, nie widzisz, że potrzebujemy pomocy?

Steven zaczął pomagać. Courtney zniknęła na dłużej z jednym ze swoich znajomych, a on przez lata płacił za szkołę, wakacje, lekarzy. Pani Underwood powiedziała mu, że jest prawdziwym świętym. Natomiast on uważał, że pie-

niędzmi próbował załatwić problem, którym powinien zająć się osobiście.

- Słucham, co z Windflower? - spytał teraz. Courtney przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego niczym wcielona niewinność. Poczul nieodpartą chęć, żeby ją uderzyć.

- Muszę zostawić ją z tobą.

Był przekonany, że zażąda pieniędzy, toteż w pierwszej chwili nie zrozumiał jej słów.

- Co? O czym ty do diabła mówisz?

- Wyjeżdżam na kurację. Tylko dla dorosłych. Nie mogę zabrać jej z sobą.

Steven był jeszcze bardziej zaskoczony.

- Jesteś na coś chora?

- Chodzi mi o uzdrowienie duchowe - odpowiedziała z lekkim zniecierpliwieniem.

Steven na chwilę zaniemówił.

- Specjalista powiedziała, że potrzebny mi spokój - stwierdziła, potrząsając głową.

- Mówisz poważnie?

- Dziecięca strona mojego wnętrza potrzebuje duchowego pokarmu.

- Tak? A co z dzieckiem zewnętrznym? Chciałem powiedzieć: z prawdziwym? Z biedactwem, które od kilku lat włóczy się za sobą po Europie?

- Jeśli uważasz, że źle się nią zajmuję, to sam spróbuj - wyrzuciła z siebie Courtney, gwałtownie rezygnując z wzniosłej pozy. - Co z ciebie za ojciec chrzestny? Kiedy ostatnio spędziłeś z nią trochę czasu?

- A kiedy ostatnio była w Anglii?

- Mogłam ją tu przywieźć, gdybyś tylko chciał. Ale nie,

to przeszkadzałoby ci w wesołym, kawalerskim życiu - stwierdziła obrażona.

Steven zaczął bębnić palcami po stole.

- To ty mi mówiłaś, że dziecko powinno pozostać przy matce - przypomniał. - Rosemary Underwood marzyła o adopcji.

Courtney zmrużyła oczy ze złości.

- Nie mówię o adopcji. Mówię o spędzaniu czasu z kimś, kto mógłby zastąpić jej ojca. Mówię o tobie.

Właśnie tak zawsze kończyły się jego sprzeczki z Courtney. Przegrywał bezapelacyjnie. Zdrowy rozsądek i racjonalne argumenty nie miały dla niej znaczenia.

Nic nie wiem o wychowywaniu dzieci - próbował nieopradnie tłumaczyć.

Courtney wzruszyła ramionami.

- Wynajmij opiekunkę. Stać cię na to. Zapisz się na jakiś kurs albo się ożeń - machnęła ręką. - Teraz twoja kolej. Przynajmniej na jakiś czas.

- Moja kolej?

Zadzwonił telefon na biurku. Steven podniósł słuchawkę.

- O co chodzi? - spytał ostro.

- Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać - zaczęła Valerie. Była wyraźnie poruszona. - Dzwoni Jackson. Pyta, czy może zabrać to dziecko do bufetu i kupić małej jakąś słodką bułkę.

Steven zamarł.

- Dziecko? - upewnił się. Tymczasem Courtney wyglądała przez okno, nie zwracając na niego uwagi.

- Wygląda na to, że na portierni zjawiła się dziewczynka. Mówi, że jest z panią Underwood.

Steven czuł, że za chwilę wybuchnie.

- Chcesz powiedzieć, że zostawiła dziewięcioletnią córkę zupełnie bez opieki?

- Cóż...

Courtney odwróciła się w jego stronę.

- Dobrze, zajmę się tym - powiedział, odkładając słuchawkę. - Przywiozłaś ze sobą dziecko? - zwrócił się do Courtney.

- Oczywiście - odparła, zdziwiona jego oburzeniem. - A co niby miałam z nią zrobić?

- Gdzie dokładnie ją zostawiłaś?

Courtney wzruszyła ramionami.

- Na ulicy. Powiedziałam jej, że idę tylko na chwilę.

Na chwilę? - pomyślał, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Przecież kilkanaście minut wcześniej domagała się, by odesłał samochód i... Na litość boską, czyżby uważała, że uwiedzie go w kilka sekund?

- Dlaczego do diabła nie wprowadziłaś jej do środka? - spytał rozzłoszczony, choć dobrze znał odpowiedź. Courtney nie życzyła sobie, żeby dziecko kręciło się w pobliżu, gdy mamusia będzie się mizdrzyć do Stevena Koniga. Głupiego, naiwnego Koniga o gołęmbim sercu.

Wyszedł zza biurka. Był tak zły, że niemal zapomniał, jak bardzo kochał kiedyś tę kobietę.

- Idziemy po nią - stwierdził ponurym tonem.

- Idź sam. Znów zaczęło padać.

- Courtney, idziemy razem. Już.

Racjonalne argumenty mogłyby nie poskutkować, ale wściekłość w jego głosie zrobiła swoje. Courtney wyszła bez słowa, ale na zewnątrz demonstracyjnie owinęła się szczelnie

modnym, purpurowym płaszczem i zaczęła trząść się z zimna. Steven udał, że tego nie dostrzega.

Ominął kilkanaście poobijanych rowerów przy wejściu na portiernię i szybko wszedł do środka. Kilku chłopców śmiejąc się, rozmawiało z Jacksonem, jakaś dziewczyna wyjmowała właśnie ciężką paczkę ze staroświeckiego, drewnianego schowka, a mała dziewczynka stała przed ladą dla interesantów. Czytała z przejęciem ulotkę o balu przebierańców dla najmłodszych studentów.

Steven zatrzymał się w miejscu. Dziewczynka odwróciła się. W odróżnieniu od matki nie miała na sobie niczego modnego. Nie była nawet ubrana odpowiednio na chłodny dzień. Biada i zziębnięta, z niewielkim plecakiem i zsiniałymi palcami, spojrzała na niego przeciągle. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo była podobna do ojca. Za jego plecami rozległ się stukot wysokich obcasów.

- Tu jesteś, Windflower - powiedziała Courtney, biorąc Stevena pod rękę. - Pamiętasz swojego ojca chrzestnego?

- Dzień dobry - powiedziała dziewczynka obojętnie.

- Dzień dobry - odpowiedział Steven.

- Będzie się teraz tobą opiekował - oświadczyła Courtney zdecydowanym tonem.

Steven kucnął przed małą.

- Windflower, naprawdę wiesz, kim jestem?

- Dawnym chłopakiem mamy? - spytała. Przełknęła nerwowo ślinę, jakby się czegoś obawiała. Steven poczuł się nieswojo.

- Naprawdę chcesz ze mną zostać? - spytał po chwili.

- Mama mówiła, że będę musiała - stwierdziła Windflower ze zdumioną miną. Najwyraźniej dotychczas nikt nie

liczył się z jej zdaniem. Steven odruchowo pokiwał głową ze współczuciem.

Wyprostował się zdecydowanym ruchem.

- Będą mi potrzebne jej dokumenty - oświadczył chłodno. - Świadectwo urodzenia, książeczka zdrowia, świadectwo szkolne.

- Windflower ma to wszystko w plecaku - powiedziała Courtney. Przygotowała się do spotkania lepiej, niż się spodziewała.

- A jej rzeczy?

Wskazała poobijaną walizkę stojącą przy ladzie. Steven pomyślał, że nie mogły się tam zmieścić wszystkie rzeczy potrzebne dziecku. Podjął błyskawiczną decyzję.

- Dobrze. Chcesz, żebym się nią zajął - zaczął, tłumiąc ogarniającą go furję. - Więc zajmę się nią. Panie Jackson, muszę skorzystać z pana komputera.

Mówił cicho i uprzejmie, ale w jego głosie było takie napięcie, że Jackson niemal spadł z krzesła, ustępując mu miejsca. Zaskoczeni studenci przestali dowcipkować. Steven błyskawicznie zapełnił tekstem całą stronę. Czekając na wydruk, odwrócił się w ich stronę.

- Potrzebuję was jako świadków - powiedział. Po chwili podał Courtney dwie kopie. - Przekazujesz mi bez żadnych ograniczeń opiekę nad twoją córką. Wpisz swój nowy adres - mówił, stukając palcem w papier. - A teraz tu podpisz.

- Ale ja nie mieszkam nigdzie na stałe - zaprotestowała.

- Wpisz, że nie masz stałego adresu. Na obu egzemplarzach. Podpisz na dole.

Podpisała. Dopiero teraz widać było, że cała sytuacja jednak ją poruszyła.

- Świadkowie - zwrócił się do studentów. - Nazwisko, adres, data. Proszę na obu kartkach.

Podpisali, nie ociągając się.

- Profesorze, właśnie przyjechał samochód z telewizji - zauważył Jackson.

- Proszę im znaleźć jakieś wolne miejsce na parkingu i powiedzieć, że będę za dziesięć minut.

Jedną z podpisanych kartek przesunął w stronę Courtney, jakby chciał uniknąć kontaktu z jej dłonią. Drugą kartkę starannie złożył i schował do kieszeni.

- Na razie zostawię tu walizkę - zwrócił się do Jacksona.  
- Później po nią wpadnę.

Odwrócił się do dziecka.

- Chcesz pojechać do telewizji? Zobaczysz studio i kamery.

Zastanowiła się przez chwilę i w końcu skinęła głową.

- W takim razie pożegnaj się z mamą i chodźmy.

- Już teraz? - Courtney była zaskoczona. Próbowała chwycić go za rękę. - Mamy jeszcze tyle spraw do omówienia. Musimy...

- Mój prawnik skontaktuje się z tobą - stwierdził Steven, cofając dłoń. - Uprzedzałem, że jestem umówiony - dodał i zwrócił się do dziewczynki: - Pożegnaj się. Naprawdę muszę się spieszyć.

Windflower pospiesznie pocałowała matkę i wsunęła rękę w dłoń Stevena. Miała lodowate palce. Rzucił Courtney wrogie spojrzenie i nie żegnając się z nią, zwrócił się do Windflower.

- W samochodzie opowiesz mi wszystko o sobie i o tym, co chciałabyś robić. Teraz chodź, musimy jeszcze wziąć kilka



moich rzeczy. Panie Jackson, proszę odprowadzić panią Underwood do wyjścia, dobrze?

- Oczywiście.

Nie oglądając się na Courtney, Steven ruszył przez podwórzec.

- Proszę pani, czy mam wezwać taksówkę? - usłyszał za plecami spokojny głos Jacksona. Pomyślał, że tamten jest mistrzem w spławianiu niepożądanych gości.

Teraz Steven musiał błyskawicznie nauczyć się wszystkiego o dziewięcioletnich dziewczynkach. Jednak najpierw czekała go rozmowa w telewizji.

- Wiesz, czego najbardziej nie znoszę u Anglików? - spytała Pepper Calhoun ponurym tonem. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Terry Woods odpowiedziała zaciekawionym uśmiechem. Sama była Angielką. Od trzech miesięcy czesała Pepper i zdążyła poznać zmienne nastroje klientki.

- Powiedz - uśmiechnęła się zachęcająco. - Co cię najbardziej wkurza?

- Doskonale potrafia manipulować innymi ludźmi.

Terry spojrzała zupełnie zaskoczona. Nożyczki niemal wypadły jej z ręki.

- Przepraszam bardzo. Chyba cię nie skaleczyłam? - powiedziała pospiesznie. - Poczęstuj się czekoladką. To podobno dobrze robi na nerwy.

- No właśnie - stwierdziła Pepper, patrząc na tamtą w lustrze. - Właśnie próbujesz mnie przekupić. Manipulujesz mną, to jasne.

Zdziwienie Terry sięgnęło szczytu.

- Nie rozumiem.

- Mam taki nastrój, że chce mi się wrzeszczeć. Machasz nożyczkami bez sensu, więc trafia mi się dobra okazja, żeby powrzeszczeć. Wtedy ty proponujesz czekoladki i psujesz wszystko!

Terry Wybuchnęła głośnym śmiechem.

- To nie było przekupstwo. Raczej ochrona przed twoim złym humorem - wyjaśniła i popchnęła bombonierkę w stronę Pepper. - Weź śmiało.

- Nie powinnam - westchnęła Pepper.

- Więc kto jeszcze psuje ci nastrój? Izzy? - spytała Terry, starannie czesząc jej mokre włosy.

Izzy omijała salony fryzjerskie, ale kiedyś przypadkiem poznała Terry przed najbliższym kioskiem z gazetami. Potem skierowała do niej Pepper. Dobitnie dała kuzynce do zrozumienia, że nie stać jej na ekskluzywne salony fryzjerskie w drogich dzielnicach. Powinna skorzystać z usług jej znajomej z Battersea.

- To nie Izzy, ale Indigo Television - wyjaśniła Pepper z nachmurzoną miną.

- Nie słyszałam o takiej stacji.

- Wcale mnie to nie dziwi - Pepper wzruszyła ramionami. - W każdym razie ich dziennikarz jakoś mnie znalazł. Potrzebuję dobrych kontaktów z mediami, więc zgodziłam się na udział w programie.

Zmrużyła oczy, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Terry właśnie nawijała jej włosy na lokówki.

- To nie wystarczy - stwierdziła.

- Chcesz więcej loków? - zdziwiła się Terry.

- Ile tylko da się wcisnąć.

- Skąd ta zmiana?

- Muszę wyglądać słodko, zalotnie, przekonująco i budzić zaufanie.

Terry ostro zabrała się do pracy, ale zżerała ją ciekawość.

- Nagrywasz reklamę nowych płatków? - spytała wreszcie.

- Nie. Przede wszystkim chcę zrobić wrażenie na ewentualnych inwestorach.

- Co konkretnie masz robić w telewizji?

- Dobre pytanie - przyznała Pepper ponurym tonem. Wyciągnęła rękę w stronę czekoladek, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

- Biorę udział w dyskusji, a powinnam teraz siedzieć w domu, wymyślając najlepszą na świecie kampanię marketingową. Zostało na to już tylko kilka godzin. Natomiast ja pojedę do jakiegoś studia, żeby mówić do grupy studentów.

Terry machnęła lekceważąco ręką.

- Kiedy pokażą ten program? - spytała.

- Dzisiaj. Zaraz po południu. Jest na żywo.

- Świetnie. Mam telewizor na zapleczu. O czym to będzie?

- Jak zostać inwestorem. - Pepper sięgnęła do torebki opartej o nogę fotela. Wyciągnęła wymiętą kartkę. - „Program edukacyjny w nowym, atrakcyjnym kształcie - czytała na głos. - Co tydzień zapraszamy przedstawicieli świata biznesu, którzy będą odpowiadać na pytania młodych ludzi, dopiero rozpoczynających karierę”. Brzmi okropnie, prawda?

Terry nie mogła zaprzeczyć.

- Nie przejmuj się - stwierdziła pocieszająco. - Najważniejsze, żeby zareklamować się w mediach.

- Właśnie to sobie powtarzam, chociaż powinnam raczej walić głową w ścianę.

Terry założyła ostatni wałek i cofnęła się o krok.

- Chyba aż tak się nie denerwujesz? - spytała.

- Pomyśl o trzech podstawowych faktach: nie znasz pytań, nie dostajesz wynagrodzenia za udział i nie wiesz, kto tam przyjdzie.

- W takim razie, dlaczego się zgodziłaś?

- Cóż, u was w Anglii wszyscy ludzie biznesu dali sobie w mówić, że dla nauki należy poświęcić nie tylko cenny czas, ale również zarobek.

Pepper po raz pierwszy w życiu usiłowała utrzymywać się samodzielnie. Owszem, było to niezwykle pouczające, jednak z trudem wiązała koniec z końcem.

- Zgodziłam się, bo nie chcę, by o mnie zapomniano.

Terry spojrzała na nią w lustrze. Pepper mówiła na ten temat za każdy razem, gdy się widziały.

- Zależy mi na tym ze względu na moje piany marketingowe - dodała. Poczuła skurcz żołądka. Nie była w stanie opierać się ani chwili dłużej. Zdecydowanym ruchem sięgnęła po pierwszą tego dnia czekoladkę z orzechem laskowym.

Steven skończył czytać notatki przygotowane na spotkanie w Indigo Television. Obok niego siedziała spokojnie Windflower, zupełnie nie speszona wytworną limuzyną.

- Obawiam się, że będziesz się trochę nudzić - stwierdził Steven współczująco. Dziewczynka spojrzała na niego bystrym wzrokiem.

- Nie szkodzi. Mama mówi, że nie jestem uciążliwa - powiedziała. W jej głosie nie słychać było dumy z tego powodu. Raczej rezygnację.

- Obiecuję, że gdy tylko program się skończy, będziesz mogła rozrabiać do woli - zapewnił Steven z przekonaniem.

W tym momencie samochód skręcił na placyk, który przypominał niewielkie wysypisko śmieci. Steven zdawał sobie sprawę, że Indigo Television dopiero zaczyna działalność, więc nie spodziewał się odźwiernego w galowym mundurze, ale zaskoczył go stos czarnych toreb ze śmieciami opartych o hangar z blachy falistej. Odwrócił się do kierowcy w uniformie.

- Czy jest pan pewien, że to tutaj?

- Wszyscy mnie o to pytają - stwierdził tamten z ponurą satysfakcją i zaparkował tuż przy metalowej ścianie. - Powrót o drugiej, prawda? Chyba że chce pan skorzystać z poczęstunku. - powiedział z powątpiewaniem. Steven wyobraził sobie smakołyki, jakich można by spodziewać się w takim miejscu i skwapliwie zrezygnował.

- Tak, o drugiej będzie świetnie.

Kierowca wysiadł i szerokim gestem otworzył drzwi. Windflower wygramoliła się na zewnątrz i natychmiast za-trzęsła się z zimna.

- Musimy kupić ci jakieś ciepłe ubranie - stwierdził Steven i ruszył za nią.

Przez placyk nadchodziła jakaś kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym i szerokiej chuście okrywającej głowę i ramiona. Ostrożnie stawiała kroki, jakby groził jej wybuch miny.

- Czy to wysypisko śmieci? - spytała.

Steven miał podobne wrażenie, więc uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Chyba tak. Czy dobrze się domyślam, że pani też jest gościem programu?

- Gościem? Chyba raczej ofiarą - stwierdziła. - Ciekawe, jak wygląda powitanie. W takim miejscu pewnie najpierw wrywają torebkę z ręki.

- Tędy, proszę państwa - wtrącił kierowca.

Drzwi były wąskie, ale korytarz przytulny, w pastelowych kolorach i nowocześnie oświetlony miniaturowymi reflektorami. Na kobiecie w płaszczu nie zrobiło to wrażenia. Weszła do środka, ale nie miała zamiaru przeszukiwać pomieszczeń.

- Halo, śmietnikowa telewizjo! Jest tu kto?

Za jej plecami rozległ się chichot Windflower. Steven zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy słyszy jej śmiech. Nie było odpowiedzi. Kobieta syknęła przez zęby. Nagle uniosła jedną nogę i zdjęła but. Zaczęła nim rytmicznie uderzać w najbliższy kaloryfer. Steven podskoczył z wrażenia, natomiast Windflower z radością przyłączyła się do zabawy. Robiły więcej hałasu niż orkiestra dęta.

- Wystarczy! - zawołał Steven.

Windflower od razu zareagowała, natomiast kobieta waliła dalej, nie przestając nawoływać. Steven spojrzał na jej but. Drogi, z doskonałej, czarnej skóry, na wysokim obcasie. Pod przeciwdeszczowym płaszczem kryła się więc zamożna, elegancko ubrana osoba, przyzwyczajona do wydawania poleceń. Od razu stracił do niej połowę sympatii.

- Ja się tym zajmę - zaproponował. Ruszył korytarzem, otwierając na oścież kolejne drzwi. Za trzecimi ktoś był.

- Macie gości oraz poważne kłopoty ze słuchem - powiedział do dwóch dziewcząt plotkujących przed lustrem w łazience.

Wybiegły na korytarz. Na ich widok kobieta w płaszczu przestała hałasować, lecz widać było, że nadal jest wściekła.

- Dajcie jej kawę, krzesło i zróbcie coś z płaszczem - doradził im Steven.

. Jedna z dziewcząt zajęła się ekspresem do kawy, druga, mamrocząc jakieś przeprosiny, pobiegła zawiadomić kogoś w kolejnym pokoju. Windflower zaczęła radośnie podskakiwać po pokoju, natomiast kobieta spojrzała uważnie na Stevena.

- Ludzie zawsze słuchają pana poleceń?

- Zawsze - stwierdził chłodno. - Proszę włożyć but. Przytrzymać panią za rękę?

Wkładając but, spojrzała na Stevena ze złością. Uświadomiła sobie, że sama zrobiła to, co jej kazał. Uśmiechnął się szyderczo.

- Zawsze - powtórzył. - Bo widzi pani, ja zawsze mam rację.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Zawsze mam rację? - pomyślała Pepper. Nie mogła uwierzyć, że to powiedział.

- Rządzi pan jakąś planetą? Dlaczego zniżył się pan do kontaktów ze zwykłymi śmiertelnikami? - spytała. Zauważyła z satysfakcją, że natychmiast stracił swój pewny siebie uśmiech.

- Steven Konig - przedstawił się, wyciągając rękę. - Zaprosili mnie do dzisiejszego programu.

- W takim razie musiałam pomylić dni - stwierdziła.

- Dlaczego? - spytał zaskoczony.

- Miałam wziąć udział w programie o inwestorach, a nie o tyranach.

- Jestem tyranem, bo kazałem pani wreszcie włożyć but?

Pepper zauważyła, że Steven Konig, czy kim on tam był, pokręcił głową z niedowierzaniem. Najwyraźniej przestał być zaskoczony i zdecydował, że czas przybrać rozbawioną minę. Rozzłościło ją to jeszcze bardziej.

- Czy nie jest pani przewrażliwiona?

Pepper nie znosiła kpin z własnej osoby.

- Może pan mi powie? Przecież wie pan wszystko najlepiej?

- Przepraszam - wtrąciła jedna z dziewcząt przepłoszonych z łazienki przez Stevena. - Czy zechcieliby państwo pójść za mną? Mamy tu pokój dla gości.



Pepper rzuciła jej miażdżące spojrzenie.

- A ten władca planety kazał podać mi kawę? Jasne, wykonujemy rozkazy najwyższego dowództwa.

- Tędy proszę - powiedziała tamta z niepewnym uśmiechem. - Martin spotka się z państwem jak najszybciej - do-dała bez przekonania.

Pokój, w którym się znaleźli, był duszny i pozbawiony okien. Proste krzesła stały wzdłuż ścian, a w rogu stół z brudnymi kubkami ze styropianu. Steven Konig, do którego Pepper czuła coraz większą niechęć, demonstracyjnie unióśł brwi. Dziewczyna z telewizji szybko sprzątnęła kubki.

- Czy mogę zabrać pana płaszcz? - spytała. - Państwa płaszcze? - poprawiła się, zerknąwszy na Pepper. Jednak podeszła do Stevena, odbierając jego doskonale skrojone okrycie, jakby Pepper była kimś mniej ważnym.

Steven usadowił się w kącie, wyciągnął komórkę i zaczął rozmawiać, nie zwracając na nikogo uwagi. Oczywiście, właśnie takiego zachowania oczekiwałam, pomyślała ze złością Pepper. Odstawiła teczkę z dokumentami i zdjęła szeroki płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem.

Nagle usłyszała jakiś odgłos na wysokości biodra. Zdziwiona spojrzała w dół. Dziewczynka towarzysząca „władcy planety” wlepiła w nią oczy. Pepper poczuła się nieswojo. Nie wiedziała, jak rozmawiać z małymi dziewczynkami.

- Dlaczego nosisz dwa płaszcze? - spytała mała, poważnie zaciskając usta. Było to rozsądne pytanie, nie wymagające skomplikowanej odpowiedzi.

- Mój płaszcz nie ma kaptura, a ten przeciwdeszczowy ma - wyjaśniła. Odpowiedź zadowoliła dziewczynkę, ale tylko na chwilę.

- Masz szal zarzucony na głowę, to po co ci jeszcze kaptur?

- Szal nie chroni przed wilgocią, a ja właśnie wyszłam od fryzjerki - powiedziała Pepper. Ostrożnie ściągnęła jedwabne nakrycie głowy i potrząsnęła rudozłotymi włosami.

„Władca planety” zakrztusił się, jakby telefoniczny rozmówca czymś go zaskoczył.

- Rewelacyjne włosy - stwierdziła dziewczyna z telewizji.

- Dziękuję - odpowiedziała Pepper i rozejrzała się za lustrem. Na próżno. Przejechała więc dłonią po włosach. Wyglądało na to, że jakimś cudem fryzura nie ucierpiała. Loki sprężyście reagowały na delikatny dotyk.

- Gdzie pani znalazła taki odcień?

Pepper wytrzeszczyła oczy.

- Słucham?

- Zawsze chciałam ufarbować się na rudo, ale za każdym razem wyglądałam jak stragan z marchwią. Kto zrobił pani taki kolor?

- Rodzice - wyznała szczerze.

- Naprawdę są naturalne? - spytała dziewczyna z telewizji z niedowierzaniem.

- Zapewniam, że urodziłam się ruda. - Pepper była rozbawiona i jednocześnie zażenowana.

Dziewczyna westchnęła.

- Mam nadzieję, że nie spodziewali się państwo zawodowej charakteryzatorki, która zadba o makijaż przed występem? - spytała. Spojrzała na Stevena, który odwrócony tyłem do pokoju, nie przestawał rozmawiać przez telefon. - Indigo istnieje od niedawna. Jeszcze nie mamy wszystkiego - dodała.

Pepper wzruszyła ramionami. Zastanawiała się, do czego tamta zmierza.

- Więc?

- Może zechciałaby pani pójść do łazienki i poprawić makijaż? Reflektory w studiu dają silne światło: Sama pani rozumie - starała się wyjaśnić, z trudem dobierając słowa, żeby jej nie urazić.

- Nos ci się błyszczy - wtrąciła Windflower obojętnym tonem i ostatecznie wyjaśniła sprawę.

Pepper z trudem powstrzymała się, żeby nie zakląć. Bardzo rzadko robiła sobie makijaż, a dziś nawet nie przyszło jej to do głowy. Natychmiast zmyłby go deszcz.

- Dziękuję - powiedziała do Windflower. - Gdzie ta łazienka? - zwróciła się do dziewczyny.

- Zaprowadzę panią.

Windflower wsunęła dłoń do jej dłoni. Pepper na chwilę zamarła. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio trzymała za rękę dziecko lub kogokolwiek innego. Natomiast dla małej podanie ręki zupełnie obcej osobie nie było żadnym problemem.

- Ja też idę - oświadczyła stanowczo. Tymczasem „władca planety” spojrział nad słuchawką. Wyglądał na bardzo zaskoczonego. Jednak nie na tyle, żeby okazać trochę więcej ogłady.

- Dokąd idziesz? - rzucił krótko.

Dziewczynka spojrzała na niego ze złością.

- Muszę iść - wyjaśniła.

Z irytacją uniósł brwi.

- Dokąd? - powtórzył i nagle się domyślił. - Tak, oczywiście. Pójdiesz z panią?

- Doskonale damy sobie radę - stwierdziła chłodno Pepper.

Wzięła teczkę pod pachę i ruszyła przed siebie. Dziewczynka dzielnie kroczyła obok.

- Tędy w dół - przewodniczka wskazała drogę. - Jest trochę ciemno, ale zaraz - przerwała i przycisnęła włącznik.

Wokół gigantycznego lustra rozbłysły żarówki. Wystarczyłyby nawet do oświetlenia pasa startowego na lotnisku, pomyślała Pepper. Niestety, w tym świetle wyglądała na bladą, zmarzniętą i przestraszoną.

- Do rozpoczęcia pozostało około dwudziestu minut - poinformowała dziewczyna. - Potem nagrywamy, program idzie na żywo.

- Tak, wiem - powiedziała Pepper, starając się zapomnieć o tremie przed występem.

Dziewczyna zostawiła je same. Pepper spojrzała niepewnie na Windflower, lecz ta spokojnie zajęła jedną z kabin. Pepper odetchnęła. Miała dość stresu nawet bez matkowania obcej dziewczynce. Gdy opuściła swoją kabinę, zastała dziewczynkę bawiącą się suszarką do rąk i pojemnikiem na perfumy.

- Mama mówi - oświadczyła mała - że zawsze należy używać tego samego zapachu. Kiedy ludzie go poczują, od razu pomyślą o tobie.

- Naprawdę? No proszę - mruknęła Pepper, która nie miała pojęcia o perfumach.

Spojrzała w lustro. Pomyślała, że mieszkanie z kuzynkami miało swoje dobre strony. Co prawda Jemima jako wzięta modelka była w ciągłych rozjazdach, ale w ubiegłym tygodniu znalazła czas, żeby udzielić Pepper i Izzy długiej lekcji makijażu. Było to o tyle ważne, że, jak Pepper miała okazję się przekonać, w londyńskim świecie biznesu przywiązywa-

no dużą wagę do wyglądu. Dawniej, gdy występowała jako ukochana wnuczka bogatej i wpływowej kobiety, nie musiała sobie tym zaprzętać głowy. Ciemny kostium, ułożone włosy i prosta biżuteria zupełnie wystarczały. Teraz spotykała się z inwestorami, którzy jej nie znali i musiała zrobić na nich odpowiednie wrażenie.

Miała więc przy sobie cały zestaw: puder, cienie, ołówki i pędzelki. Z grubsza wiedziała, jak ich używać. Wyciągnęła wszystko z teczki, a Windflower wygodnie zasiadła na sąsiednim taborecie.

- Mama mówi - oświadczyła, oglądając ciemnoniebieski cień do powiek - że cienie nadają się tylko na wieczór.

- Dziękuję za radę - powiedziała z przekąsem Pepper. Sięgnęła po cień i pochyliła się w stronę lustra. Spojrzała uważnie i nie po raz pierwszy doszła do wniosku, że ma całkiem ładne oczy. Piwne, lekko skośne z wyjątkowo długimi rzęsami. Nałożyła nieco cienia na jedną powiekę i w lustrze oceniła rezultat. Dziewczynka nie odezwała się słowem.

Pepper westchnęła i zaczęła starannie usuwać cień z powieki.

- Zgoda, miałaś rację. Wyglądam, jakby ktoś porządnie przyłożył mi w oko. W takim razie wystarczy puder i może odrobina różu.

Po chwili znów sprawdziła rezultaty. Nos przestał błyszczyć, i to uznała za najważniejsze. Ostatecznie nie zaprosili jej do studia, by podziwiać jej wygląd. Przeczesała szczotką włosy.

- Gotowe - zdecydowała.

- A lakier na włosy? - spytała dziewczynka.

- Nie.

- Mama mówi...

- Na pewno ma rację, ale już musimy się pospieszyć. Chodźmy - powiedziała Pepper. Miała już dość słuchania o mamie tej smarkatej.

Wyszły na korytarz. Dziewczynka znów chwyciła ją za rękę. Pepper natychmiast zmiękła. Dziecko nie było winne, że czuła się spięta i zestresowana. Gdy mała usłyszała, że jedzie do telewizji, z pewnością spodziewała się wspaniałego studia. Ta blaszana szopa musiała ją bardzo rozczarować.

- Od dawna cieszyłaś się na przyjazd tutaj? - spytała.

Dziewczynka pokręciła przecząco głową.

- Wujek Steven powiedział, że mam jechać. Potem wybieramy się na zakupy - wyjaśniła.

- Wujek? To władca, przepraszam, pan Konig nie jest twoim tatą?

Dziewczynka znów pokręciła głową.

- Jak masz na im...?

- Janice - odpowiedziała Windflower, nim Pepper zdążyła dokończyć pytanie. Pepper nie wiedziała zbyt wiele o dzieciach, ale doskonale rozpoznawała, kiedy ludzie kłamią. Teraz też zorientowała się, że dziecko nie mówi prawdy. Hm, podejrzana sprawa...

Steven skończył rozmawiać przez telefon, gdy tylko Pepper wyszła z pokoju. Wyłączył aparat i ciężko usiadł. To była ona! Jego boginii z samolotu. Takich włosów nie sposób zapomnieć! Jednak tym razem malownicza fryzura nie była wynikiem całonocnego lotu samolotem, a raczej rezultatem wielogodzinnej pracy kosztownej fryzjerki.

Jednak nie tylko włosy wyglądały inaczej. Przez ostatnie

tygodnie wspominał z rozczuleniem delikatną, nieśmiałą kobietę z czarującym uśmiechem. Teraz ta dziewczyna robiła wrażenie agresywnej jędry. Boże, jak ona waliła butem w kaloryfery! W przeciwieństwie do Courtney, nie udawała słodkiej idiotki, żeby manipulować ludźmi - była o wiele gorsza!

Steven zacisnął zęby. A ja uważałem, że znam się na ludziach, pomyślał. Wciąż takie same pomyłki. Czy przez ostatnie piętnaście lat niczego się nie nauczyłem?

Drzwi otworzyły się z hukiem i wkroczył producent.

- Cześć, Steven. Przepraszam, że nie przyszedłem wcześniej, żeby cię przywitać. Wiesz, jak to bywa. Poznałeś już wszystkich?

- Niezupełnie - odpowiedział Steven z wahaniem.

- Słyszałem, że już zdążyłeś pokłócić się z Tygrysiątkiem.

- Masz na myśli panią Calhoun?

- Jasne. - Martin Tammery uniósł wzrok znad notatek.

- Przyznasz, że ma charakterek.

- Rzeczywiście - Steven przytaknął chłodno. - Chociaż, szczerze mówiąc, nie wiem, czy to pani Calhoun, bo nie raczyła się przedstawić.

Martin uniósł brwi.

- Hm, zapowiada się ożywiony program pełen spieć. Świetnie. Gdzie ona jest? Chyba nie potraktowałeś jej tak, że odmówiła przebywania z tobą w tym samym pomieszczeniu?

- Bardzo śmieszne - odparł Steven. - Ta kobieta bez wahania przyłożyłaby mi w głowę butem na szpilce.

W tym momencie Pepper weszła, trzymając Windflower za rękę.

- Pani Calhoun! - zawołał radośnie Martin i ruszył w jej kierunku. - Zdaje się, że nikt nie dokonał oficjalnej prezen-

tacji. Państwo pozwolą. Steven jest bardzo znany, a w czasach moich studiów był wykładowcą uniwersyteckim. Steven, to pani Penelope Calhoun.

Pepper poczuła się nieco zakłopotana, ale trwało to tylko krótką chwilę. Zdecydowała, że na razie najlepiej będzie skryć się za maską uprzejmości.

- Witam, profesorze - powiedziała z uśmiechem i wyciągnęła rękę. Wiedziała, że on postąpi podobnie. Znała ten typ mężczyzn. Uważali się za lepszych, ale nie zapominali o dobrych manierach.

Nie pomyliła się. Uścisnął jej dłoń zdecydowanym ruchem.

- Przykro mi, że pana nie rozpoznałam, ale jestem w Anglii od niedawna.

- Wiem - stwierdził chłodno. Pepper powstrzymała złośliwy uśmiech.

- Proszę mi powiedzieć, co powinnam o panu wiedzieć - poprosiła niewinnym tonem. Miała nadzieję, że takiego ważniaka wyprowadzi to z równowagi. Jednak zrobił tylko rozbawioną minę.

- Martin przesadza - wyjaśnił. - Jestem zwykłym biochemikiem. Zaprosił mnie tylko dlatego, że założyłem firmę Kplant, która na starcie miała trochę szczęścia.

Pepper dobrze wiedziała, że jego firma odniosła ogromny sukces.

- Technologia żywności, prawda? Mówi się, że Kplant to wzorcowe przedsiębiorstwo.

- Może tak będzie kiedyś w przyszłości.

- Może? Przecież każdy chce, żeby jego firma była znana i najlepsza. To główny powód, dla którego ludzie garną się do biznesu.



- Tak pani uważa? - spytał z niedowierzaniem.

Zorientowała się, że spodziewał się po niej podobnej wypowiedzi, i uznał ją za naiwną. Spojrzała na niego uważnie. Już gdzieś go spotkałam, uświadomiła sobie nagle.

- Słuchajcie - wtrącił Martin - podyskutowujecie w czasie programu. - Kiwnął dłonią na jedną z dziewcząt. - Mogłabyś przez chwilę zaopiekować się córką pani Calhoun? - poprosił.

- To nie jest... - zaczęła Pepper, ale on już zdążył wyjść na korytarz. Ruszyli za nim. Po drodze tłumaczył im szczegóły.

- Publiczność to młodzież, szesnaście, osiemnaście lat. Powinniście spodziewać się zaskakujących pytań. Dacie sobie z tym radę?

- Będę improwizował - powiedział Steven, wzruszając ramionami.

A co ze mną? - zirytowała się w duchu Pepper. Pewnie mu się wydaje, że tylko on będzie mówił. Ważniak!

Jednocześnie nie mogła pozbyć się wrażenia, że już gdzieś go spotkała. Pewnie też ją wtedy zlekceważył. Zacisnęła zęby i weszła do studia. Musiała zaprezentować się jako osoba zrównoważona. Nie wolno jej zrobić z siebie idiotki w programie na żywo, chociaż miała wielką ochotę przyłożyć temu zarozumiałcowi. No nic, kiedyś jeszcze nadejdzie odpowiednia chwila. Uśmiechnęła się szeroko, zajęła miejsce w fotelu i rozejrzała się wokół.

Steven wyczuwał jej napięcie. Pomyślał, że to raczej on powinien być zły. Ostatecznie całymi tygodniami marzył o kobiecie, która okazała się zupełnie inna. Czas oprzytomnieć, pomyślał. Słuchał wstępu, wygłaszanego przez prowadzącego program, i narastała w nim złość.

Pierwsze pytanie skierowane było do Pepper. Dziewczyna

w obszarpanych dzinsach pytała o gromadzenie kapitału początkowego. Pepper odpowiadała całkiem sensownie, co jeszcze bardziej zirykowało Stevena.

- Nie wiem, skąd może pani wiedzieć, jak zdobyć kapitał, jeśli imperium Calhounow zgromadziło go na długo przed pani urodzeniem - wtrącił. - Ma pani nad nami ogromną przewagę: pieniądze rodziny, kontakty.

Pepper odpowiedziała promiennym uśmiechem. Jak on mógł podobać się jakiegokolwiek kobiecie? - pomyślała złośliwie.

- Inwestor musi korzystać ze wszystkiego - stwierdziła słodkim głosem i uśmiechnęła się do publiczności. - Wszyscy macie znajomych. Oni znają kolejne osoby. Z jakiegoś powodu w Anglii uważa się, że nie wypada korzystać z tak zwanych układów, ale w końcu wszyscy to robią. Po prostu trzeba mieć odwagę, by nazywać rzeczy po imieniu.

Steven zeszywniał. Poczul się jak skarcony uczeń. Spojrzał na nią. Jej uśmiech mówił wyraźnie: Pierwsza runda dla mnie. Wroga atmosfera utrzymywała się już do końca programu.

- Dobrze jest - mruknął do siebie Martin Tammery siedzący przed monitorami w reżyserce.

Publiczność natychmiast wyczuła wrogość między rozmówcami. Pojawiły się pytania, które miały dodatkowo podgrzać atmosferę. Nikt nie przekroczył zasad dobrego wychowania, ale było jasne, że rozmówcy nie darzą się sympatią.

Jednak w pewnym momencie wszystko wymknęło się spod kontroli, choć zaczęło się od niewinnego pytania.

- Czy to w porządku, że żąda się od ekspedientek, by schudły? W niektórych butikach jest to warunek przyjęcia do pracy.

Steven słuchał ze znudzoną miną.

- Czytałam o takim przypadku - powiedziała Pepper. - Pracodawca ma prawo spodziewać się, że pracownik zadba o swój wygląd. Dobiera personel najodpowiedniejszy ze względów marketingowych. Natomiast nadwaga nie zawsze zależy wyłącznie od ilości przyjmowanych kalorii.

- Co za bzdury - wtrącił nagle Steven, odwracając się w jej stronę. - Przecież to prosta równowaga. Jeśli gromadzisz w organizmie, więcej energii, niż możesz zużyć, zaczynasz tyć. Można z tym walczyć, ale to wymaga wysiłku. Jeśli od tego zależałaby pani kariera, próbowałaby pani coś z tym zrobić-. Mam już dosyć kobiet wypowiadających się na temat nadwagi tak, jakby ich to nie dotyczyło.

Mówiąc to, myślał o Courtney. Zawsze znajdowała wymówkę, żeby zrobić to, na co miała ochotę, jednak nie kwapiła się do ponoszenia odpowiedzialności za swoje czyny.

Pepper zastygła, jakby właśnie została ranna i bała się ruszyć. Zbladła jak ściana. Na chwilę zaległa zupełna cisza. Wreszcie prowadzący program ocknął się i zachęcił do dalszych pytań.

Pepper znów zaczęła odpowiadać, nawet zdobyła się na kilka żartów. Jednak nie spozrzała już w stronę Stevena. Gdy na zakończenie rozległa się muzyka, Pepper szybko wstała i wyszła bez słowa. Po chwili zjawiła się Windflower. Podeszła i spozrzała na Stevena z oskarżycielską miną.

- Ta pani płacze - oświadczyła.

Steven poczuł się nieswojo.

- Nie wygłupiaj się - powiedział. - Dorośli nie płaczą.

Windflower spozrzała na niego z nieukrywaną pogardą i nie siliła się na odpowiedź. Czy ta cholerna baba naprawdę

płacze? - przestraszył się. Wściekłe feministki zazwyczaj tego nie robią. Jednak zdawał sobie sprawę, że to on ponosi winę za taki stan rzeczy. Mina Windflower świadczyła o tym dobitnie.

Martin Tammery zjawił się, energicznie zacierając ręce z zadowolenia.

- Świetnie. Nie mogło być lepiej - powiedział. - Chodź, napijemy się, żeby to uczcić.

- Uczcić? - upewnił się Steven, unosząc brwi. - Przecież to było straszne.

- Przykro mi - powiedział Martin, ale nie zabrzmiało to szczerze. Prowadził Stevena do pokoju dla gości. - Pani Calhoun to twardy przeciwnik. Takie są te kobiety biznesu. Ale naprawdę warto było.

Przerwał, bo Pepper Calhoun właśnie weszła do pokoju z wysoko uniesioną głową i roziskrzonymi oczami.

- Zajmij się nią! - szepnął do ucha asystentce i szybko wyszedł bocznymi drzwiami. Nie czekał, aż Pepper przygwoździ go wzrokiem.

Asystentka wyczuła napiętą atmosferę i natychmiast podeszła do Pepper.

- Pani Calhoun, czy podać coś do picia?

- Wody - odpowiedziała. - Dużo.

Steven podszedł bliżej.

- Gasimy ogień? - spytał. Od razu zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to jak złośliwość, ale było już za późno. Pepper spojrzała na niego z niechęcią. - W każdym razie mamy to już za sobą - dodał.

- Niestety, nie - stwierdziła Pepper. - Spotkanie zostało nagrane i na pewno je sprzedadzą innym stacjom.

- Proszę się nie martwić - pocieszała asystentka. - Przedtem na pewno wytną wszystkie nieudane fragmenty.

Pepper spojrzała na nią.

- Od dawna pani tu pracuje?

- Sześć miesięcy.

- Rozumiem - zaczęła Pepper zgryźliwym tonem. - Pozwolę sobie wyjaśnić, że w mediach wyrzuca się to, co nudne. Natomiast przed chwilą nie było nudno. Niestety:

- Nie rozumiem.

- Niekulturalne zachowanie zawsze przyciąga widzów - stwierdziła Pepper, patrząc na Stevena.

- Czy to jakaś aluzja? - spytał zaskoczony.

- Mówię tylko, że przydałoby się panu kilka lekcji dobrych manier - powiedziała spokojnie.

- Czyli pani ma prawo nazywać mnie tyranem, ale ja nie mam prawa powiedzieć, że kobiety powinny dbać o swój wygląd?

- Owszem, powinien pan bardziej uważać, co mówi.

Uśmiechnął się złośliwie.

- Uprzejmość obowiązuje obie strony, czyż nie?

- To nie ja, ale pan zachował się niekulturalnie, i dobrze pan o tym wie. Postaram się, żeby pan to kiedyś zrozumiał.

- Czy to groźba?

- Nie, profesorze König. To wypowiedzenie wojny - powiedziała i opuściła pokój.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Martin Tammery nie był zadowolony z asystentki.

- Jak mogłaś pozwolić, żeby nagle wyszła? - zagrzmiął. Steven podszedł i stanął między nim a dziewczyną.

- Martin, to raczej na mnie powinieneś krzyczeć. Pokłóciłem się z panią Calhoun.

- Cóż, na to już nic nie możemy poradzić - stwierdził Martin cierpko. Spozrzegł Windflower i westchnął z ulgą.

- Na szczęście zostawiła dziecko. Na pewno zaraz wróci.

- To moje dziecko - oznajmił Steven. Martin miał zdumioną minę. - Nie zakończyłem sprawy z panią Calhoun. Lepiej daj mi jej numer telefonu.

Martin roześmiał się głośno.

- Chyba nie łudzisz się, że będzie chciała z tobą rozmawiać?

- Dlaczego do diabła?

Tammery i asystentka wymienili spojrzenia.

- Nazwałeś ją grubą, i to przed kamerami.

- Co? - wrzasnął. Windflower zerwała się z krzesła i stanęła obok niego. Odruchowo oparł dłoń na jej ramieniu. - O czym ty mówisz? Nigdy nie powiedziałbym nic takiego - tłumaczył poruszony. - Zresztą nie jest gruba.

- Może tylko trochę pulchna - zgodził się Martin. - Problem polega na tym, że wszystkie kobiety myślą, że są za

grube. Gdyby program nie szedł na żywo, jej prawnicy już dzwoniłoby do mnie.

- Prawnicy? Zwariowałeś, zupełnie jak ona.

- Możesz mi wierzyć, że chętnie zmusiłaby mnie do wycięcia tego fragmentu, gdyby tylko mogła - zapewnił go Martin i nagle spojrział przerażony na asystentkę. - Podpisała zgodę na rozpowszechnianie? - spytał.

- Tak, przysłała razem z odpowiedzią na zaproszenie.

Martin odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu. Będzie mnóstwo chętnych.

- Zaraz - powiedział Steven, ostatecznie wyprowadzony z równowagi. - O jakich chętnych mówisz?

Martin pożałował swej gadatliwości.

- O właścicielach innych stacji. Cóż, wasza rozmowa to kawał dobrej telewizji. Nie ma nic lepszego niż naprawdę ostre pojedynki. To przyciąga widownię.

- Boże, chcecie zmontować nagranie, żeby wyglądało, że ją obraziłem. Potem sprzedacie jakiemuś kanałowi, który poluje na skandale.

- Skądże, przecież to program edukacyjny.

Steven lekceważąco machnął ręką.

- Chcę zobaczyć całe nagranie, i to natychmiast - zażądał.

- Steven, teraz to niemożliwe. Muszę najpierw zadzwonić w kilka miejsc...

- To ty nie rozumiesz. Chcę dokładnie zobaczyć, co powiedziałem i jak ona zareagowała - powiedział nienaturalnie miłym głosem. - W przeciwnym razie będziesz miał do czynienia nie z jej, ale moimi prawnikami.

Obejrzeni nagranie programu w niewielkim pomieszcze-

ni u obok. Zapadła cisza. W końcu Steven głośno przełknął, ślinę.

- O Boże - wydusił z siebie.

- Prawdziwy pojedynek - Martin starał się ukryć zadowolenie. - Świetny program. Doskonale się uzupełnialiście - dodał zgodnie z prawdą.

- Wyglądała, jakbym ją uderzył - powiedział Steven w zamyśleniu.

- Teraz przepraszam, ale muszę zadzwonić do Nowego Jorku. - Martin wstał, chcąc uniknąć dalszej rozmowy.

- Nawet o tym nie myśl. Nie podpisałem zgody na rozpowszechnianie. Jeśli sprzedasz choćby centymetr taśmy z nagraniem, podam cię do sądu i puszczę w skarpetkach - zapowiedział Steven i odwrócił się do Windflower. Wziął ją za rękę.

- Muszę cię przeprosić. Jednak dorośli też czasami płaczą.

Bez słowa skinęła głową.

- Teraz idziemy. Mamy sporo do załatwienia.

Pepper zamknęła cicho drzwi do mieszkania. Oparła się o nie i westchnęła. Czuła, że nadal drżą jej ręce.

- Pepper?

Izzy stanęła w wejściu do kuchni. Spojrzała na Pepper z niepokojem.

- Co się stało? Babcia znów cię dopadła?

Pepper uśmiechnęła się smutno. Izzy przypadkiem trafiła w sedno. Dotychczas tylko Mary Ellen Calhoun potrafiła doprowadzić ją do takiego stanu.

- Nie. Tym razem ktoś inny nazwał mnie tłuściochem, i to przed kamerami telewizji.

- Nie rozumiem. Mówisz o dzisiejszym występie?



Pepper odsunęła się od drzwi i skrzyżowała ręce na piersi.

- Moja babka zawsze tak mi dokuczała. Uważała, że po winnam się odchudzić i nosić ciuchy o trzy numery mniejsze. Nie wiem, dlaczego ten facet przyczepił się akurat do tego, ale trafił w czułe miejsce.

- Nie wiem, o kim mówisz. Wejdz dalej, usiądź i opowiedz wszystko po kolei.

Pepper poszła za nią do jasno oświetlonej, zagraconej kuchni. Nie mogła się przyzwyczać do panującego tu bałaganu. Dziwiły ją też częste wybuchy śmiechu obu kuzynek. W rezydencji Calhounów śmiech był rzadkością. Kuzynki wspierały się wzajemnie. Było to dla nich oczywiste i naturalne, choć różniły się pod każdym względem.

Izzy przygotowała mocną herbatę. Pepper objęła kubek obiema dłońmi.

- Jak udał się wywiad? - spytała Izzy.

- Nie jestem pewna. Chyba poszło dobrze, ale byłam taka wściekła, że zapomniałam nawet o tremie.

- Kto cię tak rozzłościł?

- Pewien typowy angielski szowinistyczny tyran - poinformowała ponuro.

- Co ci zrobił? - dopytywała się Izzy.

- Powiedział, że jestem za gruba i mam za dużo pieniędzy - powiedziała, zaciskając zęby.

- Co?

- Przy włączonych kamerach! Zupełnie wyprowadził mnie z równowagi.

- To widać - przyznała Izzy.

- Odwdzięczyłam mu się. Powiedziałam, że brak mu kultury osobistej.

Izzy wytrzeszczyła oczy.

- Pewnie zemdłał z wrażenia?
- Nie, ale bardzo mu się to nie podobało.
- Słuchaj, Pepper, ile on ma lat?
- Powyżej trzydziestki. Dlaczego?
- Myślałam, że chodzi o kogoś powyżej siedemdziesiąt-ki. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że dzisiejsi faceci mają gdzieś uwagi na temat ich wychowania - tłumaczyła cierpli-wie. - To jeden z rezultatów równouprawnienia.

- Na nim zrobiło to wrażenie - zapewniła Pepper po chwili zastanowienia.

Izzy pokręciła głową.

- Chyba przeniosłaś się w czasie.
- Nic mi o tym nie wiadomo. Natomiast mam swoje za-sady.
- Raczej jesteś stuknięta - podsumowała kuzynka. - Wiesz, ja i Jemima zastanawialiśmy się kiedyś, dlaczego nie umawiasz się na randki. Czeka na ciebie ktoś w Nowym Jorku?

Pepper milczała, natomiast Izzy głośno westchnęła.

- Niech zgadnę. Był ktoś, ale nie okazał się dżentelme-nem. Oj, Pepper, co ja mam z tobą zrobić?
- Zorganizuj przyspieszony kurs chodzenia na randki - Pepper zdobyła się na żart. - Chociaż tłuściochy nie mają wielkich szans.
- Przecież nie jesteś gruba - zaprotestowała zaskoczona Izzy. - Jesteś piękną, inteligentną dziewczyną.
- Która powinna rozpocząć dzień od intensywnej gi-mnastyki - weszła jej w słowo Pepper.
- Widzę, że ten facet rzeczywiście cię wkurzył.

- Nie powinien tego mówić, ale miał trochę racji. - Pepper spojrzała na Izzy ze smutkiem. - Powiedz, co naprawdę myślisz. Zniosę to dzielnie.

Przez chwilę Izzy kręciła się w milczeniu po kuchni.

- Nie najlepiej idą mi rozmowy na ten temat - powiedziała w końcu zmienionym głosem.

- O co chodzi?

Izzy stanęła przy oknie, patrząc w przestrzeń.

- Nie zauważyłaś? Jemima nigdy nie je z nami obiadu. Jej śniadanie to filiżanka kawy.

- Cóż, jest modelką - zaczęła Pepper.

- Wiem. Musi kontrolować wagę. Jednak prawie nic nie je. Jeśli nawet coś przełknie, nie wiem, jak długo pozostaje to w żołądku.

Pepper zamilkła. Izzy była bliska łez.

- Może nie mam racji. Pewnie jestem przewrażliwioną starszą siostrą. Jednak nie spodziewaj się współczucia, bo jakiś małpolud napłócił ci bzdur o nadwadze. Każda normalna kobieta będzie po twojej stronie.

Pepper uśmiechnęła się do niej.

- Widzisz, bardziej niż jego słowa załamała mnie moja reakcja. Niewiele brakowało, żebym rozpłakała się przed kamerami. Wyobraź to sobie, poszłam tam z nadzieją, że zrobię dobre wrażenie na ewentualnych inwestorach. Jednak po programie ludzie pomyślą: Ta kobieta jest tak rozhisteryzowana, że gdy napotyka problem, natychmiast wybucham płaczem. Powierzyłabyś kapitał komuś takiemu?

Izzy nigdy nie szukała inwestorów, toteż nie bardzo wiedziała, jak pocieszyć Pepper.

- Cóż, to tylko interesy - powiedziała w końcu.

Pepper uniosła głowę.

- Izzy, ja to traktuję inaczej. Albo jestem dobra w tym, co robię, albo jestem niczym. Ten cholerny facet sprawił, że poczułam się jak zero.

Zakupy dla Windflower były zaskakująco łatwe. Na szczęście, bo Steven i tak myślał cały czas o Pepper Calhoun. Dlaczego zarzuciła mu brak kultury? Usiłowała toczyć z nim walkę i uważała, że nie miał prawa odpowiadać tym samym. Jednak potem zalała się łzami, i to z jego powodu!

Niezawodna Val przygotowała dokładny plan wyprawy do sklepów. Nie sądził, że sam sobie z tym poradzi, chociaż Windflower okazała się wyjątkowo mało kapryśna. Od znajomych słyszał, że ich dzieci potrafią się dąsać i sprzeczać. Windflower zgadzała się na każdą bluzkę, koszulkę czy parę spodni. Właściwie od chwili, gdy dowiedziała się, że może mieć zarówno džinsy, jak i szorty, poruszała się jak w transie. O nic nie prosiła i niczego nie odmawiała. Po prostu trzymała ubrania kurczowo przyciśnięte do siebie i spoglądała w lustro.

- Nie musisz brać tego, co ci się nie podoba - powiedział w końcu, speszony jej milczeniem. Właśnie miała na sobie džinsową kamizelkę z gwiazdą szeryfa na kieszonce. - Naprawdę ci się podoba? - spytał niepewnie na widok tego kowbojskiego stroju. Zdecydowanie pokiwała głową. - W takim razie w porządku - poddał się.

Gdy kupowali buty, zauważył, że miała dziurawe podeszwy, co po raz kolejny wyprowadziło go z równowagi.

- Dokąd teraz? - spytał, gdy wyszła ze sklepu w nowych adidasach. - Książki? Kosmetyki? Fryzjer?

- Fryzjerzy są dla dorosłych - oświadczyła, jakby deklamowała dawno wyuczoną lekcję. - Podobała ci się fryzura Pepper? - dodała.

Steven zatrzymał się zaskoczony.

- Słucham?

- Chciałabym taką mieć. Była super, prawda?

Przez chwilę wspominał powiewające rude loki. Przełknął ślinę.

- Chyba tak.

- Nie lubisz jej?

- Nie znam jej, ale trochę lubię.

Windflower nic nie powiedziała, ale spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- No dobrze, rozzłościła mnie - przyznał Steven. - Ciebie nikt nie złości?

- Myślę, że jest miła - powiedziała Windflower po namyśle.

- Może i tak. Trudno ocenić kogoś po jednym spotkaniu.

Przez chwilę szła obok niego w milczeniu.

- Spotkamy się z nią jeszcze? - spytała.

- Tak - zapewnił Steven z przekonaniem. -I to jak naj-  
szybciej.

Jednak nie było to takie proste. Zadzwoił z komórki do Indigo Television, ale nikt nie kwapił się do pomocy. Obrażony Martin Tammery odmówił bez owijania w bawełnę.

- Musimy troszczyć się o dobro naszych gości - oświadczył. - Nie udzielamy informacji. Mógłbyś ją nagabywać przez telefon.

- Martin, przez całe życie nie zdarzyło mi się nikogo nagabywać:

- Może sobie nie życzyć, żebyś do niej dzwonił. Ostatecznie nazwałeś ją przed kamerami zaniedbanym tłusciochem.

- Nie nazwałem jej tłuscio... - Steven przerwał. Siedział z Windflower w wagonie metra, a jego rozmowa wyraźnie zainteresowała współpasażerów. Ściszył głos.

- Dobrze, nie podawaj numeru, tylko przekaz jej wiadomość ode mnie.

- Nie powinienem tego robić. Jeśli ona będzie chciała skontaktować się z tobą, to znajdzie cię na uczelni. Nie będę ryzykował kłopotów. Zegnam, Steven.

W tej sytuacji trzeba było znaleźć inny sposób. Pepper szukała inwestorów, więc musiał być z nią jakiś kontakt. W ciągu następnego tygodnia miał się przekonać, jak trudno jest wytropić tę rudowłosą jędzę.

Firma. Calhoun Carter zaprzeczyła, że Pepper opuściła Stany Zjednoczone. Poradzono mu, by skorzystał z jej służbowego adresu elektronicznego. Nie dało to żadnego rezultatu, podobnie jak kolejne telefony. Wtedy przypomniał sobie dziennikarza z samolotu. Sandy Franks zasnął po uroczystym lunchu i nie zjawił się na nowojorskiej konferencji. Jednak udało mu się rzeczowo opisać jej przebieg dzięki notatkom użyczonym przez Stevena. Teraz przyszedł czas na rewanz, ale Sandy nie okazał się zbytnio pomocny.

- Tygrysiątko? Lepiej uważaj. Ona potrafi porządnie dać się we znaki. Nie zagryzie cię jak jej babka, ale z czasem nauczy się i tego.

- Nie ugryzła mnie - zapewnił Steven. - To ja narozrabiałem i chciałbym ją przeprosić.

- Lepiej trzymaj się z daleka. Żaden Calhoun nie zniesie

porażki. Jeśli nadepnąłeś jej na odcisk, lepiej zmykaj, póki jeszcze czas.

Steven przypomniał sobie jej pobladłą twarz. Po jego bezsensownej wypowiedzi wyglądała, jakby zrobił jej wielką krzywdę. Mimo powszechnie panującej opinii nie przypominała rozjuszony tygrysy, która chciałaby rozszarpać go na kawałki. Zdawał sobie sprawę, że sprawił jej ogromną przykrość.

- Sandy, to dla mnie bardzo ważne - nalegał.

Dziennikarz westchnął.

- Dobrze, popytam, ale ludzie wolą informacje o Calhounach zatrzymać dla siebie. Jeśli Pepper nie chce, by ją odnaleziono, nic nie poradzę.

Niestety, miał rację. Steven zaczął więc szukać na własną rękę. Pytał każdego, kto mógłby znać Pepper. Bez rezultatu. Na szczęście żadna z nagabywanych osób nie oglądała programu i nie zadawała niemiłych pytań. Okazało się, że właściwie tylko grupka studentów widziała jego zachowanie przed kamerami. Usłyszał ich komentarze, gdy wracał z porannego treningu.

- Val, oni myślą, że stałem się walczącym antyfeministą - jęknął, wbiegając po schodach do pokoju sekretarki. - Sprawa zaczyna wymykać się z rąk.

Val również widziała program, ale dotychczas konsekwentnie unikała tego tematu.

- Cóż, zajmuję cię to tak bardzo, że zapomniałeś o umówionych spotkaniach. Za dziesięć minut masz zebranie komitetu, który usiłuje zdobyć jakieś fundusze dla uczelni.

- Pamiętam - zawołał i zbiegł na dół, żeby się przebrać w swoim pokoju.

Val wróciła do gabinetu. Windflower siedziała z wypiekami na twarzy przy komputerze. Steven w ostatnich dniach zapisał ją do nowej szkoły.

- Kończysz pracę domową? - spytała Val.

Windflower przecząco pokręciła głową.

- Weszłam na stronę Pepper. To moja przyjaciółka.

- Dziewięćlatki mają teraz przyjaciół w Internecie? - upewniła się rozbawiona Val i natychmiast coś zaświtało jej w głowie. Podeszła bliżej. Zdjęcia na stronie przedstawiały obszerny, stary dom z ogrodem, rudowłosą kobietę zbierającą jabłka.

- Profesorze, powinien pan to zobaczyć - zawołała, wystawiając głowę na korytarz.

- Nie mam teraz czasu - odkrzyknął, idąc wielkimi krokami w stronę sali konferencyjnej.

- Zdaje się, że nareszcie wiem, jak skontaktować się z panią Calhoun.

Zebraanie komitetu rozpoczęło z niemal godzinnym opóźnieniem.

Pepper musiała przyznać, że uroczysty lunch z okazji oficjalnej prezentacji projektu „Prosto z Poddasza” udał się znakomicie. Nie było tłumu gości. Same starannie dobrane osobistości: dziennikarze, wydawcy, fotograficy. Pepper długo zastanawiała się nad listą, a potem nad tym, co ma powiedzieć każdemu z gości.

- Właśnie takie przyjęcia lubię - stwierdziła Izzy, rozglądając się wokół. Ostatnio cały swój czas poświęciła projektowi Pepper.

- Wszyscy są zadowoleni - dodała Jemima, zatrzymując



się obok nich na chwilę. Już sama obecność znanej modelki podniosła rangę spotkania. Pepper skinęła głową.

- Nie wygląda to źle - przyznała. Teraz powinnam porozmawiać. A ten co tu robi?

Izzy spojrzała zaskoczona.

- Kto? Gdzie?

- Jeśli mówisz o tym przystojniaku z krzaczastymi brwiami - stwierdziła Jemima - to twierdzi, że poznaliście się w samolocie.

- Łże jak z nut. Pewnie przyszedł tu szpiegować - powiedziała ponuro Pepper. Obie kuzynki spojrzały na nią.

- Chcesz powiedzieć, że to on? - dopytywała się Izzy.  
- Jak śmiał się tu pokazać?

- Wygląda na kogoś, kto nie przebiera w środkach i uparcie dąży do celu - powiedziała Jemima. - Pepper, nie mówiłaś, że jest taki seksowny. Co masz zamiar z nim zrobić?

- Wyrzuc go - odpowiedziała Izzy.

Pepper spojrzała na zaproszonych fotoreporterów i zacisnęła zęby.

- Na razie nikt nie skomentował tamtego nieszczęsnego programu. Lepiej udawać, że wszystko jest w porządku i nie robić scen.

- Słusznie - poparła ją Jemima. - W przeciwnym razie jutrzejsze tytuły mogą zepsuć twoją kampanię reklamową.

Po przeciwnej stronie sali Steven Konig sięgnął po kieliszek szampana i wdał się w rozmowę z jednym z dziennikarzy. Jakby czując na sobie wzrok Pepper, odwrócił się w jej stronę. Uniósł kieliszek na powitanie, jakby byli bardzo bliskimi przyjaciółmi.

- Jakoś to załatwię - obiecała Pepper. Podeszła do Stevena z szerokim, nieszczerym uśmiechem.

- Zdobywa pani fundusze. Bardzo się cieszę. Zajrzałem do Internetu. Intrygujący pomysł - powiedział na przywitanie.

- Też się cieszę - powiedziała Pepper, nie przestając się uśmiechać. - Proszę wypić za mój sukces i zniknąć.

Zauważyła, że z rogu pokój u jakiś fotograf zaczął im robić zdjęcia. Przysunęła się bliżej Stevena, jakby usiłowała z nim flirtować.

- Ty sukinsynu - powiedziała słodkim głosem.

- O tym właśnie chciałem rozmawiać - wyjaśnił.

Tym razem to Pepper była zaskoczona.

- Co?

- Co do sukinsyna, to nie jestem pewien, ale niewątpliwie podczas naszej debaty telewizyjnej popisałem się głupotą. Jednak nie chciałem zamieniać programu edukacyjnego w pyskówkę.

Wyglądało na to, że mówi szczerze i naprawdę jest mu przykro. No tak, ale Edowi też kiedyś ufała, a przecież potraktował ją, jakby była rzeczą. Nie zamierzała dać się ponownie nabrać na te męskie sztuczki. Cofnęła dłoń.

- Mówiłem bez zastanowienia - dodał Steven. - Byłem wyprowadzony z równowagi z powodu kłopotów osobistych i wyładowałem całą złość na pani.

Pepper czuła, że powoli przechodzi jej złość. Steven podszedł bliżej.

- To nie było w porządku. Bardzo przepraszam. Może pójdziemy gdzieś na kolację i zawrzemy pokój?

Miała na to wielką ochotę. Tłumaczył się bardzo preko-

nująco. Jednak pamiętała o randkach, które, organizowała jej babka. Nie potrzebuję niczyjej łaski, pomyślała.

- Nie, dziękuję - oświadczyła krótko. -
- Słucham? - upewnił się Steven z niedowierzaniem.
- Mówię, że nie, nic z tego.
- Ale...
- Przeprosił pan. Dziękuję i do widzenia.
- Do widzenia? Jeszcze nie wychodzę.
- Wychodzi pan, bo to moje przyjęcie, profesorze König. Uśmiechnął się.
- Zgadza się. Przyszło sporo reporterów. Po co dawać im nowy temat? Uprzedzam, że nie wyjdę po cichu - powiedział rozbawionym tonem.

Spojrzała na niego i kolejny raz wydało się jej, że już go kiedyś spotkała.

- Chyba że wyjdziemy razem - mówił niecierpliwie. - Znam miejsce, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać.

A zatem naprawdę zależało mu na tej rozmowie, zdziwiła się w duchu. Zaszło jej w gardle, jak w czasach, gdy była podlotkiem. Jednak szybko wróciła do realnego świata.

- Porozmawialiśmy - stwierdziła chłodno. - Nie widzę powodu, żeby to przedłużyć.

Najwidoczniej ta stanowcza odprawa nie zrobiła na nim większego wrażenia.

- Naprawdę wiele pani traci - powiedział z łagodnym uśmiechem, jakby przekonywał uparte dziecko.

- Dobrze. Jak pan sobie życzy. Może pan tu sterczeć, upijać się moim szampanem i świetnie się bawić.

- Dziękuję, mam taki zamiar - przyznał, coraz bardziej rozbawiony.

- Proszę trzymać się ode mnie z daleka. Mam w nosie reporterów. Jeśli podejdzie pan bliżej, rzucę czymś ciężkim. Ostrzegam - niemal wyszczała i odwróciła się na pięcie.

Zaskoczyła ją własna reakcja. Zupełnie zapomniała o dobrych manierach. Miała ochotę wylać kieliszek szampana na roześmianą twarz tego bufona.

- Co się stało? - spytała Izzy, podchodząc do niej.

- Ten dziwny kraj działa mi na nerwy - mruknęła Pepper.

- Tylko kraj? - Izzy spojrzała przez ramię. - Wydawało mi się, że chodzi raczej o interesującego mężczyznę, który nie spuszcza z ciebie wzroku. Właściwie będziesz miała teraz więcej czasu. Interes zacznij się rozkręcać.

Pepper lekceważąco machnęła ręką.

- Dopiero zacznym i nikt nie może mi przeszkodzić, a już na pewno nie ten zarozumiały profesorek - oświadczyła i poszła porozmawiać z zaproszonymi wydawcami i dziennikarzami. Poświęciła im już ponad godzinę, gdy zjawił się Martin Tammery. Energicznie pomachał ręką.

- Witaj, Pepper! - zawołał, podchodząc bliżej. Sandy Franks, z którym właśnie rozmawiała, uniósł wysoko brwi.

- Jesteście ze sobą po imieniu?

- Po programie przeszliśmy na „ty”. Chyba zaprzyjaźnia się z każdym, kto nie podaje go do sądu natychmiast po wizycie w jego programie - stwierdziła.

- Słyszałem co nieco o pierwszym odcinku. - Sandy spojrzał na nią badawczo. - Podobno podczas nagrywania było trochę gorąco.

- Tak? - spytała lekkim tonem, choć zadrżały jej dłonie.

- Słyszałem, że posprzeczałaś się z Konigiem na temat równouprawnienia kobiet - badał ją dalej,

- Niezupełnie tak to wyglądało - odparła z uprzejmym uśmiechem.

- Szczerze mówiąc, mam swoje kontakty i wiem, co tam się działo. Natomiast twoi goście najwyraźniej nie mają o tym pojęcia. Nie oglądają telewizji w ciągu dnia, a Indigo nie powtórzy nagrania, ani nikomu go nie odsprzeda.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytała zaskoczona.

- Słyszałem, że Steven Konig postraszył Tammery'ego i zarząd Indigo.

- Co? Steven Konig zabronił rozpowszechniania? Nie wierzę. Nic o tym nie słyszałam.

- Mówiłem, że mam niezłe dościa. Wiem o wszystkim - powiedział z radosnym uśmiechem.

Powoli pokręciła głową.

- Ciekawe, dlaczego to zrobił? Przecież to nie on się ośmieszył.

- Kto wie? Może gryzie go sumienie? - powiedział Franks niby od niechcenia. Dziesięć minut wcześniej Steven złapał go za łokieć i przez chwilę szczerze opowiadał o swoich sprawach. - Chyba powinnaś go sama o to zapytać - dodał Franks. Jednak mina Pepper dobitnie świadczyła o tym, że nie ma mowy o polubownym załatwieniu sprawy.

Pocziwy Steven, pomyślał Sandy Franks. Tygrysiatko wkrótce obedrze go ze skóry.

- To dobry człowiek, z zasadami. Mógłby zostać multimilionerem, ale wołał przeznaczyć swoje udziały w Kplant na specjalny fundusz kształcenia rolników w krajach Trzeciego Świata.

Na Pepper najwyraźniej nie zrobiło to wrażenia. Sandy westchnął. Cóż, miał do czynienia z kobietą, dla której liczył się tylko biznes.

- Pepper, nie mścij się na mnie - dodał jeszcze.

Nadszedł Martin Tammery. Sandy wymienił z nim uprzejmości i pospieszenie ruszył do wyjścia. Czekąco go jeszcze jedno przyjęcie. Mijając Stevena, zwolnił krok.

- Stary, daj sobie spokój - powiedział przyciszonym głosem. - Beznadziejna sprawa.

Steven spojrział w stronę Pepper. Śmiała się, słuchając czyjś żartu i przez chwilę znów wyglądała jak jego wymarzona bogini.

- Nie wierzę - powiedział. - Jakoś to z nią załatwię.

- Nie uda ci się. Uwierz staremu wydze - nie ustępował Sandy Franks.

Gdy spotkanie miało się ku końcowi, Pepper niespodziewanie oddaliła się od nielicznych już gości. Steven zauważył, że zmierzała w jego kierunku, więc ruszył jej na spotkanie.

- Podobno wstrzymał pan rozpowszechnianie programu? - spytała zaczepnie.

- Tak, nagranie nie zostanie odsprzedane - przyznał. Czekał teraz na pytanie, jak udało mu się to załatwić.

- Dlaczego?

Zaskoczyła go. Patrzyła zdecydowanie, szeroko otwartymi oczami. Miał wielką ochotę przytulić ją i pocałować.

- Z mojego powodu? Nie trzeba było. Nie rozpłakałam się wtedy, nawet jeśli komuś się wydaje, że tak było.

- Oczywiście, wiem - powiedział uspokajającym tonem, co natychmiast ją zirytowało.

- Nie potrzebuję specjalnego traktowania. Potrafię sama zadbać o swoje sprawy.

- Tak, ale nie zachowałem się wtedy jak dżentelmen. Nie była pani przygotowana na mój atak i zdaje się, że oboje nie wypadliśmy najlepiej. Potem zadbałem tylko, żeby to nagranie nie prześladowało nas w nieskończoność.

Słuchała go uważnie, nie spuszczać wzroku.

- Czyli ratował pan swoją twarz tak samo jak moją?  
- upewniła się obojętnym tonem.

Oczywiście - zapewnił z przekonaniem.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Kłamca - powiedziała, wyciągając rękę. - Dziękuję.  
Właściwie teraz ja winna jestem panu przeprosiny.

Steven poczuł wielką ulgę. Ujął dłoń Pepper.

- Pójdziemy na kolację?

Cofnęła dłoń.

- Ja...

- Co mamy do stracenia? - spytał z uśmiechem. - Zobaczmy, co z tego wyniknie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Jakiż jestem głupi, powtarzał sobie Steven, wracając pociągiem do Oksfordu. Oczywiście, nie pozwoliła zaprosić się na kolację. Narzucał się jej jak jakiś erotoman. Każda normalna kobieta na jej miejscu postąpiłaby tak samo. Po prostu nie mógł się oprzeć, gdy zobaczył, że się zarumieniła, zamrugała długimi rzęsami i głos jej się zmienił. Dawniej nigdy tak się nie zachowywał. Nawet w czasach, gdy bez pamięci kochał się w Courtney.

- Co się ze mną dzieje? - powiedział na głos. Na szczęście przedział był pusty. Steven wyjrzał za okno. Nie wiedział, co robić dalej.

Ależ jestem głupia, pomyślała Pepper. Zupełnie nie mogła się skupić na rozmowie. Jemima zarezerwowała stolik w modnej włoskiej restauracji. Poszły tam po zakończeniu spotkania. Dziennikarze wyszli w dobrych humorach. Miły nastrój i szampan zrobiły swoje. Można było przypuszczać, że w prasie ukażą się pochlebne opinie na temat planów Pepper. Jednak ona nie umiała pozbyć się uporczywej myśli, że wolałaby teraz jeść kolację w towarzystwie Stevena. Byłaby okazja wyjaśnić wreszcie wszystkie nieporozumienia. Jednak zachowała się jak wystraszona uczennica, której ktoś



proponuje pierwszą randkę. Pomyślała, że pewnie wziął ją za zupełną idiotkę. Odsunęła niedokończoną porcję spaghetti.

- Tutejszy kucharz będzie niepokieszony. Ty i Jemima niezbyt udatnie reklamujecie jego talenty kulinarne - powiedziała Izzy.

Jemima rozmazała swoją sałatkę z tuńczyka po całym talerzu, ale niewiele jej zjadła. Nic dziwnego, że Izzy była zaniepokojona,

- Pepper, ten twój Konig jest świetny - Jemima próbowała zmienić temat. - Trzeba wpisać go na listę.

Siostry bawiły się w sporządzanie listy interesujących mężczyzn do wzięcia. Pepper wzruszyła ramionami. Nie lubiła Stevena Koniga. Czuła się przy nim niepewnie i nieswojo. Jednak nie chciała, by jej czarujące kuzynki skrzywdziły go w jakikolwiek sposób.

- Jemima, zostaw go w spokoju.

- Przecież na razie nie mam zamiaru go schrupać.

- Nie życzę sobie, żeby stał się obiektem ataku.

Izzy i Jemima spojrzały na siebie.

- O czym ty mówisz? Jakiego ataku?

- Mówię o akcjach typu: wytropić i uwieść. Jesteście śmiertelnym zagrożeniem - powiedziała z przejęciem. Nie poczuły się dotknięte ani zaskoczone. Po prostu zaczęły się głośno śmiać.

- Wszystkie kobiety tak robią - stwierdziła Jemima. - Dłaczego Steven Konig ma być oszczędzony?

- Jaka słodka, próbuje go bronić - powiedziała Izzy i pokręciła głową. - Pepper, zrozum wreszcie, że mężczyźni nie chcą takiej pomocy. Uważają, że to oni rządzą światem. Jeśli bronisz faceta, to natychmiast go do siebie zrażasz.

- Zrażam? Bzdura. Zresztą, jest mi to obojętne - odpowiedziała Pepper. - Nie zamierzam zachęcać Stevena Koniga do flirtu.

Roześmiały się i zajęły deserem, który właśnie pojawił się na stoliku.

Po powrocie do domu Pepper jeszcze raz wróciła do tematu.

- Mówiłam poważnie. Zostawcie go w spokoju. On nie jest w waszym typie.

- Ale jest w twoim - zauważyła Jemima, zrzucając pantofle na wyjątkowo wysokich obcasach.

- Nie! - zaprotestowała Pepper.

Izzy uwolniła się z wyjściowego stroju i rzuciła go niebale do kąta.

- Oczywiście, że jest. W przeciwieństwie do facetów, z którymi próbowaliśmy cię bliżej poznać.

- Co takiego?

Siostry spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem.

- Nawet nie zauważyła - westchnęła Jemima.

- Mówiłam ci - dodała Izzy.

- Próbowaliście zorganizować mi randkę? - spytała z irytacją.

- Jasne - przyznała Izzy.

Pepper zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

- Jak mogłyście? Myślałam, że udało mi się od tego uwolnić.

Spojrzały na siebie zaskoczone.

- Zawsze tak robimy - stwierdziła Jemima.

- Ale ja tego nie chcę. - Pepper była już porządnie rozłoszczona. Widziała jednak, że one nie rozumiały, w czym

rzecz. - Dziękuję, ale jesteśmy zupełnie różne. Chodziłam na randki, ale nie w waszym stylu. Rozumiecie?

Uniosły brwi. Jemima lekko się speszyła.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś dziewczcą? - spytała Izzy bezceremonialnie.

Pepper zarumieniła się. Nie potrafiła tak szczerze rozmawiać o sprawach osobistych.

- Niezupełnie o to mi chodziło - powiedziała z godnością.

- Dobra. W takim razie może wytłumaczysz, o co chodzi?

- Cóż, są dwa sposoby znalezienia chłopaka - albo należycie do tej samej paczki znajomych, albo dziewczyna jest tak pociągająca, że samce ustawiają się w kolejce. .

Izzy zachichotała.

- Dobrze powiedziane.

- W każdym razie ja nie byłam specjalnie piękna, nie miałam też wielu bliskich znajomych, bo kilkakrotnie, zmieniałam szkoły. Dopiero na studiach miałam prawdziwe życie towarzyskie, ale nie byłam typem seksownej panienki.

- Byłaś kujonem - podsumowała Izzy. - Jemima też taka była. Z tego się wyrasta.

Pepper roześmiała się jakby wbrew sobie. Nie potrafiła wyznać prawdy. Przecież koledzy szkolni spotykali się z nią tylko dlatego, że ich rodzice mieli zobowiązania wobec jej babki.

- Chodziłam na przyjęcia, jednak pod koniec imprezy nikt się już nie bawi. Każdy szuka pary.

- Wtedy ktoś wyłącza światło i zaczyna się całowanie - odpowiedziała Izzy.

- W żadnej z moich szkół nic takiego nie miało miejsca.

- Pepper znów się roześmiała. - Jednak w gruncie rzeczy właśnie to miałam na myśli.

- No i...? - ponagliła ją Izzy.

- Udawałam, że sprawia mi to przyjemność - przyznała Pepper.

Nastała chwila ciszy. Kuzynki spojrzały po sobie. Izzy poklepała Pepper po ramieniu, a ta przypomniała sobie, jak żałosne były podobne sytuacje. Obie strony udawały, że są sobą zainteresowane. Potem zamiast kolegów szkolnych pojawili się młodzi ludzie, którym zależało na pracy w jednej z firm jej babki. Jednak teraz nie zamierzała dłużej rozmawiać na ten temat.

- Słuchajcie, doceniam wasze wysiłki, ale lepiej będzie, jeśli dam sobie spokój z randkami. Mówię serio.

Bezskutecznie usiłowała zasnąć. W końcu poddała się, wstała i powłokła do kuchni. Zaparzyła herbatę. Pomyślała, że właściwie powinna się cieszyć. Udało jej się zgromadzić fundusze. Mogła wreszcie wynająć piękny lokal w wiktorianским stylu, złożyć zamówienia i planować otwarcie. Zamiast skupić się na tym, myślała o mężczyźnie, którego spotkała zaledwie dwa razy w życiu. Pepper, jesteś jak dziecko, powtarzała sobie. Dorośnij wreszcie, bo ludzie powierzyli ci swoje pieniądze, zaufali. Wreszcie udało jej się zająć bieżącymi sprawami. Przejrzała statystyki i przeanalizowała najodpowiedniejszą lokalizację sieci handlowej. Uwzględniła wszystko: liczbę mieszkańców, sąsiedztwo, transport. Na koniec doszła do wniosku, że po teorii przyszedł czas na praktykę. Gdzie powinna rozpocząć działalność? St. Albans? Esher? Oksford?

W tym momencie zaczęła sobie coś niejasno przypominać. Nieogolony mężczyzna w samolocie, wyglądający jak filmowy pirat. Jego spojrzenie, dłonie, kilka słów w przejściu. Zaproponował, że pokaże jej Oksford. To był Steven Konig!

Pepper upuściła dokumenty. Złapała się za głowę. Jak mogłam tak się zbłąźnić? Naprawdę jestem głupia! - pomyślała z niesmakiem.

W kuchennych drzwiach pojawiła się Izzy, ziewając szeroko.

- Cześć - powiedziała. - Wszystko w porządku?

Pepper była tak zamyślona, że nie zwróciła na nią uwagi. Czy on mnie poznał? - zastanawiała się. Na pewno. Gdy spotkali się w telewizji, wyglądał zupełnie inaczej. Był świeżo ogolony, elegancko ubrany, nawet inaczej się poruszał.

- Nie najlepiej się prezentujesz - stwierdziła Izzy, rozsiadając się na kuchennym krześle. - Co cię wyrwało z łóżka o piątej rano? Masz kaca?

- Wiem, kim jest Steven Konig - odpowiedziała.

Izzy wzniosła oczy do nieba.

- Miałaś w dodatku amnezję? To ciężki przypadek kaca. Wszyscy wiemy, kim jest Steven Konig. Seksowny facet, który dał ci w kość przed kamerami.

- Nie, to znaczy tak, ale to nie wszystko - tłumaczyła.

- Widzisz, Izzy, spotkałam go już wcześniej. Jak mogłam zapomnieć?

- Słucham? - spytała zaskoczona kuzynka.

Pepper opowiedziała całą historię.

- Wyglądał jak pirat - zakończyła. - Chodzi mi o to, że ten typ mężczyzn zwykle zupełnie mnie nie interesuje. Nawet staram się ich unikać. Jednak samolot niespodziewanie prze-

chylił się i straciłam równowagę. Steven przytrzymał mnie. Właściwie wpadłam...

- Prosto w jego ramiona, a świat wokół zawirował? - do-kończyła Izzy. Pepper spuściła wzrok.

- Myślę, że on czuł to samo - stwierdziła kuzynka.

- Dlaczego tak uważasz? - dopytywała się Pepper.

- Widziałam już wielu facetów, oglądających się za Jemimą od czasu, gdy była nastolatką. Nabrałam doświadczenia - uśmiechnęła się. - Widziałam, jak wczoraj patrzył na ciebie i wiem, co mówię. Uważam, że powinnaś się z nim spotkać.

- Nie wiem, jak to zorganizować - przyznała Pepper, zaskoczona własną szczerością. - Zresztą, nie mam czasu na takie sprawy. Właśnie zaczynam rozkręcać interes.

- Czas nigdy nie jest odpowiedni - spokojnie stwierdziła Izzy.

- Czas na co?

Kuzynka uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Na zmysłowe pożądanie - wyjaśniła, chichocząc. - Myślisz ciągle o Stevenie. Taki stan sam nie minie. Lepiej zdecyduj się, czego właściwie chcesz, zanim to zdominuje twoje życie - dodała poważnie.

Dla Stevena był to ciężki poranek. Najpierw zasnął, co oznaczało, że musiał skrócić poranny trening. Później, nim zdążył zmienić strój, trzeba było przygotować śniadanie dla Windflower. Siedziała właśnie na wysokim krześle przy blacie kuchennym i wymachiwała nogami. W szkolnym stroju i spódnicy w kratkę wyglądała jak uosobienie niewinności. Jednak Steven nauczył się nie dowierzać pozorom.

- O co chodzi? - spytał podejrzliwie
- O nic - zapewniła i zaczęła jeść płatki z mlekiem. - Zrobiłeś mi plakietkę z nazwiskiem na dzień sportu?
- Co? - spytał Steven, rozlewając kawę.
- Mówiłam ci. Muszę mieć taką kartkę z imieniem i nazwiskiem. Obiecałeś zrobić to na komputerze.
- Ach, o to chodzi - przeczesał dłonią włosy. - Poprosimy Val.
- Val tego nie zrobi.
- Jeśli ją poproszę, na pewno zrobi - zapewnił, sięgając po dzbanek. Jednocześnie zastanawiał się, jak przełamać opór Pepper Calhoun.
- Nic z tego. Val już próbowała. Muszę mieć tę plakietkę, muszę! - zawołała Windflower.
- Steven spojrział ostro. Sprawa zaczęła się komplikować.
- Uspokój się. Dlaczego Val nie może tego zrobić?
- Mam za długie imię - oświadczyła.
- Uniósł wysoko brwi.
- Rozumiem - stwierdził poważnym tonem. - Masz jakiś pomysł, jak z tego wybrnąć?
- Uważam - oznajmiła z namysłem - że do szkoły powinienam mieć jakieś specjalne imię. Najlepiej krótkie.
- Skinął głową, nadal starając się zachować powagę.
- Jasne. Wiesz już, jakie?
- Pokręciła przecząco głową. Spojrzeli sobie w oczy. Oboje próbowali zachować powagę. Steven pierwszy nie wytrzymał i roześmiał się głośno.
- Dobrze, zastanowię się nad tym.
- Dziewczynka zeskoczyła z krzesła, już rozpogodzona.
- Dziękuję.

Zwykle mama którejs z koleżanek podwoziła Windflower do szkoły. Steven odprowadzał ją tylko do portierni.

- Co będzie dziś w szkole? - spytał po drodze.

- Francuski i nauka tańca - jak zwykle wymieniła tylko te przedmioty, które ją interesowały. - Potem idę do Sarah i będę u niej spać.

Steven westchnął. Przed przyjazdem do Oksfordu dziewczynka nie miała przyjaciół w swoim wieku. Teraz nadrabiała zaległości, spędzając mnóstwo czasu w domach koleżanek. Steven, obawiając się reakcji ich rodziców, pozwalał jej na nocleg w ich domach najwyżej raz w tygodniu. Efekt był taki, że w swoim kalendarzyku miała już zapisane wyjścia z półrocznym wyprzedzeniem.

- Baw się dobrze.

- Wujku?

- Tak?

- Czy koleżanki mogłyby u nas zanoćować podczas któregoś weekendu?

Zamarł na chwilę. Oczywiście, należało się zrewanżować. Jednak przeraził się na samą myśl, że w jego niewielkim służbowym mieszkaniu miałyby nocować kilka dziewięciolatek. W takiej sytuacji przydałoby się dwoje rodziców, pomyślał i bezwiednie zaczął się zastanawiać, jak poradziłyby sobie Pepper.

- Pomyślimy o tym - obiecał Windflower.

Poranek był wyjątkowo piękny. W słońcu trawniki błyszcząły od rosy, a dachy średniowiecznych budynków wydawały się złote. Podziwianie pięknego widoku psuła Stevenowi jedynie myśl, że niezbędny jest kosztowny remont, i to jak najszybciej.



- O, tam jest Pepper - głos Windflower wyrwał go z zamyślenia. - Cześć, Pepper! - zawołała i ruszyła biegiem. Natomiast Steven zatrzymał się w miejscu jak wryty. Przed portiernią stała jego bogini. Tym razem nie wyglądała na nieśmiałą, jak wtedy w samolocie. Odruchowo pochyliła się, gdy dziewczynka rzuciła się jej w ramiona.

- Cześć Jani... Windflower - poprawiła się i niezręcznie pogłaskała ją po głowie. - Co u was?

Steven nie mógł opanować radosnego uśmiechu. Ostrożnie, powtarzał sobie, bo znów ją czymś do siebie zrazisz. Podeszedł bliżej.

- Wszystko w porządku. Windflower właśnie wybiera się do szkoły. A co u ciebie?

- Bez zmian - odparła, rozglądając się wokół. Najwyraźniej czuła się trochę niezręcznie. Zaległa cisza.

- Miła niespodzianka - powiedział wreszcie Steven. - Co sprowadza cię do Oksfordu?

Spojrzała na niego i szybko odwróciła wzrok. Wydawało mu się, że lekko się zarumieniła.

W drzwiach stanął woźny.

- Pani Lang przyjechała po dziecko.

- Dziękuję, panie Jackson. Windflower, zbieraj się.

- Pepper, przyjdiesz na dzień sportu? - spytała dziewczynka.

Pepper zwlekała z odpowiedzią.

- Jeszcze o tym porozmawiamy. Teraz musisz już iść.

Windflower skinęła głową.

- Będę skakała wzwyż - dodała dziewczynka i wyciągnęła ręce, żeby pocałować Pepper na pożegnanie. Potem wróciła do Stevena, objęła go na chwilę i pobiegła.

- Pa, kochanie - zawołał. - Baw się dobrze. Do zobaczenia jutro.

Pepper wyglądała na zaskoczoną.

- Skacze wzwyż? - upewniła się.

- Jeszcze przed kilkoma tygodniami Windflower żyła trochę jak beżpański pies. Rodzina zbyt nią nie interesowała, często musiała zmieniać szkoły. Teraz nadrabia zaległości. Jeśli tylko bierze w czymś udział, natychmiast organizuje sobie cały klub kibiców.

- Daje sobie radę lepiej niż ja w jej wieku.

- O, tak. Jest bardzo zaradna. Ostatnio zaczęła mnie przekonywać, że powinna zmienić imię.

Pepper uśmiechnęła się ze zrozumieniem, a jednocześnie tak ciepło i serdecznie, jak wtedy, gdy poznali się w samolocie.

- Nadal nie wiem, dlaczego przyjechałaś do Oksfordu. Nie wierzę, że z mojego powodu - Steven zmienił temat. Patrzył teraz na jej włosy, wyobrażając sobie, jak wyglądają rozsypane na poduszce. - Zmieniłaś zdanie?

- Nie rozumiem...

- Mimo wszystko chcesz ze mną porozmawiać? - spytał.

- Wejźmy do środka - zaproponował. - Jadłaś śniadanie?

- Nie, dziękuję, nie jestem głodna.

Steven miał ochotę objąć ją mocno i siłą zaprowadzić do swojego mieszkania. Jednak nie odważył się na to. Wskazał gestem drogę.

- W takim razie proponuję kawę.

Sytuacja była o wiele bardziej skomplikowana, niż Pepper mogła przewidzieć. Zjawiła się tu, nie bardzo wiedząc, co chce mu powiedzieć. Jednak na miejscu wszystko wyglądało

inaczej. Widok dziecka był dla niej kompletnym zaskoczeniem. Dziewczynka mieszkała razem z nim, a on traktował ją jak ojciec. Czyżby tak naprawdę nie był jedynie „wujkiem Stevenem”? Zaskoczyła ją również jego wygląd. W mokrej od potu koszulce i szortach, z opalonymi nogami i zmierzwiionymi włosami, miał w sobie coś pierwotnie zmysłowego. Budził w niej pożądanie.

Przeszli pod niskim kamiennym łukiem, potem wąskim przejściem między dwoma budynkami, aż wreszcie dotarli do wieży.

- Miejsce zupełnie jak ze starej bajki - zauważyła Pepper. Steven machnął ręką.

- Biuro i mieszkanie - wyjaśnił obojętnie. - Nie jest zbyt wygodne, a sekretarka chcąc nie chcąc kontroluje moje życie osobiste.

Jakby na potwierdzenie tych słów w drzwiach ukazała się Val.

- Dzień dobry. Dziekan chciałby z panem zamienić słowo przed spotkaniem komitetu.

- Nie da mi chwili na własne sprawy - mruknął Steven pod nosem. - Val, czy coś jeszcze?

Sekretarka spojrzała znacząco na jego strój.

- Reszta może poczekać, aż pan się przebierze.

Roześmiał się.

- Słusznie. Chcę jeszcze wypić kawę z moim gościem - powiedział i przedstawił sobie obie panie. - Daj mi pół godziny, dobrze?

- Oczywiście, profesorze - powiedziała. Wróciła do gabinetu, głośno zamykając drzwi.

- Tu jest kuchnia - Steven wskazał jasne pomieszczenie

z wiekowym stołem i staroświeckim wyposażeniem. - Proszę, poczęstuj się kawą. Zaraz wrócę.

Wyszedł, ściągając przez głowę bawełnianą koszulkę. Pepper odwróciła oczy, ale i tak zdążyła zauważyć owłosioną klatkę piersiową, szerokie, umięśnione ramiona. Na pewno sporo trenował. Ciekawe, czy jest próżny i zarozumiały? - pomyślała. Na razie nic na to nie wskazywało. Był przy stojny, inteligentny, zaradny i świetnie dawał sobie radę z dzieckiem. Niemal doskonały. Doszła do wniosku, że jest poza jej zasięgiem. Na widok monstrualnych bicepsów zwykle robiło jej się niedobrze, ale na szczęście Steven nie był napompowanym kulturystą i patrzyła na niego z przyjemnością.

Zauważyła napełniony do połowy dzbanek z kawą. Sięgnęła po kubek, usiadła i powoli zaczęła saczyć napój. Uznała, że przyjscie tutaj było błędem. Jednak teraz nie miała wyjścia. Musiała jakoś przez to przebrnąć. Miała za sobą liczne randki, na których czuła się niezręcznie, więc i to spotkanie jakoś przetrzyma.

Gdy Steven wrócił, zaczęła mówić. Nie przerywała przez prawie dziesięć minut. Wreszcie dopuściła go do głosu.

- Pamiętałaś mnie z samolotu, ale teraz ja powinienem przeprosić, że później już mnie nie poznałaś? - spytał z niedowierzaniem. - Muszę przyznać, że to zaskakująca logika.

- Nie powiedziałaś, że poznaliśmy się w samolocie. Wiedziałeś o tym, gdy tylko zobaczyłeś mnie przed budynkiem telewizji, prawda?

- Nie od razu. Przecież miałaś kaptur na głowie.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Wzruszył ramionami i sięgnął po kawę.

- Cóż, zrobiłaś na mnie o wiele większe wrażenie niż ja na tobie. Zdarza się.

- Kłamca.

Roześmiał się.

- Trudno tamtą chwilę w samolocie nazwać spotkaniem.

Pomyślała, że tak naprawdę tylko dla niej miało to jakieś znaczenie. Choć uważała się za inteligentną i wykształconą kobietę, w kontaktach z mężczyznami była nieporadna jak dziecko. Mary Ellen miała rację!

Rozejrzała się za torebką.

- Powinam już iść - powiedziała zduszonym głosem.

- Muszę obejrzeć jakieś lokale.

Steven sięgnął po jej torebkę, ale nie spieszył się z jej oddaniem.

- Jeśli załatwisz coś w pobliżu Oksfordu, czy później moglibyśmy się spotkać?

- Dzień sportu? - spytała z uśmiechem.

- Dobry pomysł, ale to dopiero za miesiąc. Myślałem raczej o wspólnym zwiedzaniu miasta. Kilka zabytkowych budowli, przejażdżka łódką po rzece w cieniu wierzb.

- To brzmi romantycznie i przypomina mi dzieciństwo. Rodzice często czytali mi przed zaśnięciem „O czym szumią wierzby”. Ta książka tak im się podobała, że chyba czytali ją bardziej dla siebie niż dla mnie - powiedziała, uśmiechając się do wspomnień.

- Tutejsi studenci zabierają tam dziewczyny i zupełnie inne książki. To już długa tradycja. Jeśli któryś poważnie myśli o dziewczynie, zaprasza ją do łodzi, cumuje pod płaczącą wierzba i czyta coś erotycznego.

- Tak? - Pepper zastanawiała się, czy widać, że się zarumieniła. - Czy to działa?

Uśmiechnął się.

- Nie mogę powiedzieć. W wojnie płci jesteśmy po przeciwnych stronach.

Zwilżyła usta. Patrzył na nią zafascynowany. Nie mogła zrozumieć, dlaczego zarumieniła się, czując na sobie jego wzrok. Jak on to robił? Ona nigdy nie potrafiła flirtować.

- Myślisz, że sama powinnam się przekonać?

- Nie mogę się doczekać.

Pepper niemal się zakrztusiła. Steven rzucił jej niewinne spojrzenie. Była pewna, że zdawał sobie sprawę, jak na nią działa.

- Chodźmy sprawdzić rozkład zajęć. Umówimy się na konkretną godzinę. Przyjadę po ciebie. Dziś jest wymarzony dzień na wycieczkę po rzece.

Choć nie powiedział, że to wymarzony dzień, żeby ją uwieść, Pepper poczuła przyjemne podniecenie. Co dziwne, niezależnie od jego zamiarów, nie odczuwała strachu. Tak, wybierze się na wycieczkę ze Stevenem Konigiem niezależnie od konsekwencji!

Jego gabinet był mieszaniną historii i współczesności. Stało tu kilka komputerów, ale był też zabytkowy kominek, wiekowe meble i stare książki oprawne w skórę.

- Val, jak wygląda mój dzisiejszy dzień?

Sekretarka zaszczyciła ich krótkim spojrzeniem i otworzyła stronę na komputerze. Ta kobieta mnie nie lubi, pomyślała Pepper, buńczucznie unosząc brodę. Steven miał zapełniony cały dzień. Co gorsza, Pepper nie rozumiała notatek. Zakochałam się w geniuszu, pomyślała ponuro. Tylko tego mi potrzeba: wysoki współczynnik inteligencji i zmysłowość.

- A lunch? - spytał Steven.
- Znów dziekan.
- Nic z tego. Przepróż go, ale taki dzień jak dziś zdarza się raz w życiu.

Pepper nie mogła uwierzyć, że to powiedział. Dla żadnego mężczyzny czas spędzony z nią nie był nigdy wyjątkowy. Jednak Steven patrzył teraz prosto w jej oczy. Więc to nie był żart? - pomyślała zdziwiona.

- Co ty na to? - spytał niepewnie. - Popłyniemy? Jestem nawet gotów coś ci przeczytać.

Tylko oni oboje wiedzieli, co miał na myśli. Pierwszy raz zdarzyła jej się taka sytuacja.

- Profesorze, kiedy pan wróci? - spytała doskonała sekretarka z wyraźnym niezadowoleniem.

- Nie mam pojęcia - przyznał, nie odrywając oczu od Pepper.

Kiedy tak się na mnie gapi, wydaje mi się, że jestem piękna, pomyślała.

- Co z Windflower? - dopytywała się sekretarka.
- Nocuje u koleżanki.
- Odprowadzę cię na targ. Tam bez trudu znajdziesz dla nas coś na piknik, dobrze?

Skinęła głową.

- Ja rozejrzę się za winem - dodał. -I za czymś do czytania.

Oczywiście, literatura erotyczna! - pomyślała i zarumieniła się po same uszy. Steven promieniał z radości.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Prowadził ją szybko przez centrum miasta, wskazując najciekawsze miejsca.

- Kościół z czasów Tudorów, średniowieczny college, świetna księgarnia, biblioteka w ogromnej, starej piwnicy.

Wkrótce Pepper zaczęło brakować tchu, a oglądane obrazy straciły na ostrości.

- Chód sportowy nie jest moją mocną stroną, a mózg nie przyswaja tylu informacji w tak krótkim czasie. Czy możemy się zatrzymać? Muszę odsapnąć.

Zwolnił krok, ujął ją pod rękę i pod czarnym sklepieniem wyprowadził na słońce. Zatrzymał się i wskazał budynek z kolumnami zwieńczony kopułą.

- Dom Radcliffe'a, jednego z pionierów fotografii - wyjaśnił. Objął ją i lekko przyciągnął do siebie. Poczuła, że oblewa ją fala gorąca.

- Niezwkły, prawda? - spytał. Wydało jej się, że czuje na włosach dotyk jego ust. Skup się na architekturze, powtarzała sobie. Nie myśl o nim, bo i tak nie wiesz, jak się zachować.

- Wspaniały - przyznała.

- W środku jest czytelnia. Sam czasem tu zaglądam, przede wszystkim żeby spojrzeć na sufit pod kopułą. Robi niesamowite wrażenie.



Cofnął rękę i zerknął na zegarek. Ich bliskość nie robiła na nim takiego wrażenia jak na niej. Czy ja zawsze muszę tracić zdrowy rozsądek tylko dlatego, że dotknął mnie atrakcyjny mężczyzna? - pomyślała, zła na siebie. Jestem śmieszna. Powinnam nosić plaketkę z ostrzeżeniem: Ta kobieta może źle zrozumieć twoje zachowanie i niewłaściwie odczytać intencje.

- Już czas iść dalej, jeśli nie chcesz spóźnić się na umówione spotkania. Proszę tędy.

Targ mieścił się pod wiktoriańskim dachem. Wzdłuż przejść stały dziesiątki sklepików. Oferowały wszystko od bawełnianych koszulek po wykwintne wina. Pachniało kawą, serem i starymi książkami.

- Targ istnieje w tym miejscu od osiemnastego wieku - mówił Steven tonem przewodnika. - To taki ówczesny supermarket. Spożywcze towary są naprawdę dobre. Wybierz coś na piknik, byle nie rolmopsy.

- Zapamiętam - stwierdziła sucho.

Uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że zapamiętasz też inne rzeczy. Do zobaczenia o dwunastej obok domu z kopułą.

Pochylił się i pocałował ją w policzek, jakby robił to od lat. Odszedł z aktówką pod pachą, pogwizdując wesoło. Pepper stała przez chwilę bez ruchu. Ciekawe, czy miał zwyczaj całować wszystkie panie, którym zlecał zrobienie zakupów? Pewnie tak! Pepper, nie bądź naiwnym dzieckiem, powiedziała do siebie i poszła na spotkanie w sprawie\* lokali do wynajęcia.

Robiła notatki, zadawała pytania, ale nie mogła się doczekać, żeby wrócić na targ. Steven miał rację. Bez trudu zna-

lazła świeży, chrupiący chleb. Był jeszcze ciepły. Kanapki, sałatka, duża porcja sera z orzechami, winogrona i torba czerśni. Piknik zapowiadał się na najlepszy w jej życiu. Potem doszła do wniosku, że jest nieodpowiednio ubrana.

Miała na sobie ciemny kostium, idealny do załatwiania spraw urzędowych, natomiast zupełnie nieodpowiedni na popołudnie nad rzeką.

W jednym ze sklepików kupiła turkusową spódnicę i bawełnianą koszulkę. Przebrała się, a biznesowy strój pospiesznie zwinęła. Zerknęła w lustro i zdała sobie sprawę, że zachowała się zupełnie jak Izzy po spotkaniu poprzedniego wieczoru. Właściwie tak bardzo nie różniły się od siebie. Co prawda Pepper nie była modnie wychudzona, ale było między nimi wiele podobieństw, i to nie tylko z powodu ogniściego koloru włosów. Jeśli tak, to Pepper również może usidlić i uwieść mężczyznę!

Przystań pełna była łódek, które odpływały lub cumowały. Przy okazji wpadały na siebie lub uderzały burtami o kamienny brzeg. Steven bezkolizyjnie przebił się przez ten gąszcz i skierował łódkę w górę rzeki, z dala od tłumów.

Pepper rozłożyła się wygodnie na poduszkach i obserwowała, jak spokojnymi, wyważonymi ruchami popychał łódkę. Przypomniała sobie poranną scenę, gdy zobaczyła jego opalone mięśnie i zwichrzoną fryzurę. Uśmiechnęła się.

- Często pływasz?

- Biegam codziennie rano, jeśli to możliwe. Staram się też raz w tygodniu znaleźć czas na dzudo.

Przechyliła głowę.

- Próbujesz kopniakami wykończyć przeciwnika? To agresywny sport.

- Ja patrzę na to inaczej. Podstawowa zasada dżudo, to wykorzystać siłę przeciwnika przeciw niemu.

- Bardzo sprytne.

- W życiu ta zasada też się przydaje - stwierdził z uśmiechem. Spojrzała mu w oczy. Patrzył na nią ciepło i z pożądaniem, jakby niespiesznie rozbierał wzrokiem.

W końcu dopłynęli do miejsca, gdzie rzeka rozlewała się szeroko i zwalniała bieg. Steven skierował łódkę do brzegu i zatrzymał pod osłoną wierzby płaczącej. Po chwili przestali kołysać się na spokojnej wodzie. W popołudniowym upale nic nawet nie drgnęło. Także ptaki zamilkły. Jedyne w oddali majaczyły zarysy innych łódek.

Steven położył się obok Pepper. Zesztywniała. Boże, teraz będzie próbował mnie uwieść! Myślałam, że nie mam nic przeciwko temu, ale teraz, nie jestem pewna. Już od dawna nic takiego mnie nie spotkało. Chciałabym ważyć dziesięć kilo raniej. Właściwie wcale go nie znam. Pewnie zaraz wpadniemy do wody.

Wstrzymała oddech. Tymczasem Steven założył ręce za głowę i zerknął przez zasłonę z liści.

- Na twoim miejscu zacząłbym znów oddychać, bo stracisz przytomność - powiedział z uśmiechem. - A wtedy nie wiadomo, co mi przyjdzie do głowy.

Pepper usiadła i odetchnęła głęboko.

- Słucham?

Nadal nie patrzył w jej stronę.

- Przecież wystarczy powiedzieć: nie - wyjaśnił na pozór obojętnie.

Pepper zacisnęła zęby.

- Co masz na myśli?

- Widzę, że jeszcze nie jesteś pewna, czego chcesz. - Przystał patrzeć w niebo i skierował wzrok na nią. - Jakoś to przeżyję. Natomiast nie chcę, żebyś przeze mnie dostała palpitacji serca. Nie porwę cię w ramiona bez twojej zgody.

Na chwilę zapadła cisza.

- Czy po mnie tak wszystko widać? - spytała ochrypłym głosem.

- Cóż, oboje dopiero się poznajemy - powiedział cicho.

- Przepraszam.

- Może tymczasem usiądziesz wygodnie, żeby docenić krajobraz i piękny dzień?

Z wahaniem znów opadła na poduszki. Poprzez zasłonę z liści zerknęła na okolicę. Słońce rzucało złote blaski na liście i połyskiwało na drobnych falach. Przymknęła oczy. Poczowała, że delikatnie ujął jej dłoń i po chwili opuściło ją napięcie. Temu mężczyźnie mogła zaufać.

- Steven?

- Tak?

- Mógłbyś mnie objąć?

Nie wierzę, że to powiedziałam, pomyślała, a jednocześnie nie mogła się doczekać, kiedy Steven wreszcie zamknie ją w ramionach.

Przez długą chwilę trwali przytuleni. Pepper zdała sobie sprawę, jak niewiele dowiedziała się o własnych potrzebach i uczuciach w dotychczasowych związkach z mężczyznami. Związkach? Chodziło wyłącznie o seks bez zbędnych komplikacji. Nie były to wielkie uniesienia. Teraz odczuwała intensywną rozkosz, choć Steven jedynie musnął delikatnie wargami jej lekko rozchylone usta. Przy nim stawała się nienasycona.

Oparła głowę o jego ramię. Jeszcze drżała po pocałunku.

- Całowanie dziewczyn w łódce to chyba jedna z twoich specjalności - zauważyła kompletnie oszołomiona. - Dużo trzeba ćwiczyć?

- Chętnie jeszcze potrenuję - powiedział z uśmiechem, nie wypuszczając jej z uścisku. W końcu uwolniła się z jego objęć i usiadła. Zerknęła na jego twarz. Dla niej było to silne, zmysłowe przeżycie, natomiast on wydawał się nieporuszony.

- A co z naszym piknikiem? - spytała, lekko rozczarowana.

Nie próbował zatrzymać jej w uścisku. Pomyślała, że gdyby naprawdę mu na niej zależało, nie ustąpiłby tak łatwo.

- Przyniosłem też szampana - poinformował.

- Coś świętujemy?

- Nie - roześmiał się. - To czysto praktyczne rozwiązanie. Po prostu nie mam korkociąga, a do szampana nie będzie potrzebny.

Zabrali się do jedzenia. Steven napełnił kieliszki i zarzucił ją gradem pytań.

- Jak sprawa rodzinnej waśni? - spytał na koniec.

- Słucham?

- Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, mówiłaś, że chcesz zakończyć jakiś rodzinny konflikt.

- Pamiętasz to jeszcze? - spytała zdziwiona.

- Pamiętam wszystko, co kiedykolwiek mi powiedziałaś.

- A o tym, jak potraktowałeś mnie w telewizji, już zapomniałaś?

Zrobił zawstydzoną minę.

- Miałem zły dzień. Na dodatek zaczęłaś pleść coś o nad-

wadze i zachowywałaś się jak nieuleczalny przypadek agresywnej baby. Zaskoczyło mnie to i chyba dlatego zachowywałem się nieprzyjemnie. To był dla mnie szok, bo w samolocie wywarłaś na mnie oszałamiające wrażenie.

Spojrzeni sobie w oczy. Pepper pomyślała, że może jednak był mniej chłodny i obojętny, niż jej się wydawało. Pochylił się w jej stronę. Natychmiast poczuła się nieswojo, wyprostowała się i spojrzała w bok. To wystarczyło, żeby Steven od razu się cofnął. Przez chwilę milczeli. Jestem głupia, pomyślała Pepper. Dlaczego tak reaguję?

- Więc co z tą rodzinną waśnią?

- Żadnych śladów dawnej wojny. Doszło do tego, że mieszkam u kuzynek - wyjaśniła z uśmiechem. - Są wspańnięte. Bardzo dużo od nich się nauczyłam.

Steven znów napełnił jej kieliszek szampanem.

- Jak to możliwe?

- Nigdy nie miałam czasu na takie babskie rozmowy - powiedziała poważnie. - Nie siedziałam do północy, śmiejąc się i plotkując o sprawach ważnych tylko dla dziewczyn. Przede wszystkim interesuje je temat: jak zdobyć idealnego faceta, najlepiej z wypchanym portfelem.

- Teraz rozumiem - przyznał z uśmiechem. - Możesz już przestać szukać.

- Słucham? - spytała niepewnie.

Silną, gorącą dłonią ujął jej rękę. Pepper spojrzała na niego. W ciemnych oczach zobaczyła wesołe ogniki, jak wtedy w samolocie.

- Chodźmy do mnie. Postaram się cię o tym przekonać. Jedynym problemem jest ten wypchany portfel - powiedział szeptem.

Izzy i Jemima przepadały za takimi słownymi zaczepkami. Od razu wiedziałyby, co odpowiedzieć. Natomiast Pepper siedziała milcząca i nieruchoma, bo nic nie przychodziło jej do głowy. Jednak dla Stevena nie miało to znaczenia. Delikatnie dotknął jej policzka.

- Może już czas, żebym coś ci przeczytał?

Ciekawa była, czy teraz wyciągnie jakiś tomik erotycznej poezji miłosnej. Jak to wpłynie na rozwój sytuacji? Jednak książka, którą otworzył, zupełnie ją oszołomiła.

- „O czym szumią wierzbym”? - spytała z niedowierzaniem.

- Podobno ją lubiłaś - przypomniał i cofnął rękę. Gdyby tego nie zrobił, na pewno w tym momencie bez wahania odwzajemniłaby uścisk.

- Teraz słuchaj - powiedział i zaczął czytać.

Potem rozmawiali, leżeli obok siebie, obserwując grę światła na wodzie. Cienie były coraz dłuższe, ptaki obudziły się do życia po upalnej sjeście. Powiał wiatr i Pepper poczuła chłód, ale nie miała ochoty opuszczać schronienia za zasłoną wierbowych liści.

- Powinniśmy wracać - powiedział Steven, ale nie ruszył się z miejsca. Najwyraźniej jemu też przypadło do gustu to czarujące miejsce. - Chcesz wrócić i zwiedzić college? - spytał.

- Oczywiście.

Powoli zbliżał się wieczór. Pepper miała już wykupiony bilet powrotny do Londynu, ale nawet nie sprawdziła w rozkładzie, o której jest ostatni pociąg. Mówiła sobie, że nie ma powodu do pośpiechu. Jednak w głębi serca zdawała sobie sprawę, że po prostu chciała spędzić ze Stevenem jak najwięcej czasu.

Popłynęli w stronę przystani. Steven wyciągnął do niej rękę, gdy wysiadała.

- Ostrożnie - powiedziała, stawiając nogę na ziemi. - Chyba nie chcesz, żeby taki słoń jak ja wyrzucił cię do wody?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Tymczasem podszedł pracownik przystani, żeby zabrać poduszki z ich łódki. Steven zapłacił i odwrócił się do niej.

- Naprawdę uważasz, że wyglądasz jak słoń?

Pepper machnęła ręką.

- Było tak przyjemnie. Nie rozmawiajmy o moich wadach, dobrze?

Steven chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ostatecznie zmienił temat.

- Wracamy piechotą, taksówką, czy autobusem?

- Piechotą. Sam powiedziałaś, że jeśli się je, trzeba potem zużyć trochę energii. Naprawdę przydałoby mi się trochę ruchu.

Steven zatrzymał się w miejscu.

- Proszę, przestań.

- W porządku - zgodziła się.

- Drżysz z zimna - zauważył nagle. - Proszę, weź to - powiedział, zarzucając jej na ramiona swoją marynarkę.

W college'u kręciło się o wiele więcej studentów niż rano. Pepper miała uczucie, że wszyscy jej się przyglądają. Na pewno rzadko widywali profesora w towarzystwie wydekoltowanych kobiet w jaskrawych strojach. Powszechne zaciekawienie sprawiło jej przyjemność, a jednocześnie czuła się niezręcznie.



- Psuję ci opinię - szepnęła zażenowana.

Roześmiał się.

- Nawet nie wiesz, jak podbudowujesz moją reputację. Teraz czas na zwiedzanie.

Oprowadził ją niemal wszędzie. W końcu znaleźli się na głównym dziedzińcu otoczonym średniowiecznymi, ceglаныmi budynkami.

- Naprawdę jestem pod wrażeniem - powiedziała, rozglądając się wokół. - Pamiętam takie ilustracje z podręczników.

- Tak, wygląda to jak z bajki, tylko dach przecieka - wyjaśnił Steven.

- Co takiego? - spytała z niedowierzaniem.

- Gotyckie budynki są bardzo malownicze, ale w dość kiepskim stanie. Wymagają starannej konserwacji, a to kosztuje majątek.

- Nie macie żadnych sponsorów? - spytała Pepper.

- Poszukujemy - powiedział, krzywiąc się. - Właściwie dlatego zaproponowano mi to stanowisko. Nie jestem typowym, tradycyjnym szefem collegu'u, a to z kolei nie wszystkim się podoba.

Spojrzała na niego. Robił wrażenie, jakby miał w sobie jakąś wewnętrzną siłę, wystarczającą, żeby uporać się ze wszystkimi problemami. Inni znani jej mężczyźni wydawali się przy nim nieporadni jak chłopcy.

- Kogo woleliby widzieć na twoim miejscu? Wiekowego starca?

Roześmiał się.

- Pewnie tak, pod warunkiem, że dysponowałby funduszem zbieranym od kilku pokoleń i przeznaczonym na re-

monty szkół. Ale dziś szkoda czasu na nudne sprawy. Zaraz pójdziemy do bufetu na piwo, ale najpierw pokażę ci miejsca, do których nie docierają turyści.

Przeszli za róg budynku. Steven otworzył ciężkie, dębowe drzwi starej kaplicy. W środku panowała absolutna cisza.

- Jest dużo mniejsza, niż myślałam - przyznała Pepper, gdy znów znaleźli się na dziedzińcu. - Jednak nadal nie rozumiem, dlaczego tak stara uczelnia klepie biedę.

- Królowa Małgorzata chciała udowodnić, że dba o szkoły tak samo jak jej mąż. Interesowała się tą uczelnią przez całe pięć dni. Potem jej się to znudziło i nie wpłaciła nawet drugiej części obiecanych funduszy. Pech od samego początku - tłumaczył Steven. - Teraz chodźmy do biblioteki.

- Ale przez stulecia wszystko mogło się zmienić.

- Widzisz, nigdy nie byliśmy wielką uczelnią. W osiemnastym wieku absolwenci innych college'ów robili fortuny, a tu wtedy kształcili się klerycy. Nie było tu przyszłych gubernatorów kolonii.

- A później?

- Bez zmian - mówił ze smutnym uśmiechem. - Nie kształcił się tu żaden premier ani gwiazda popu. W Oksfordzie każdy college korzysta z jakiegoś funduszu, tylko nie my. Zaczynam czuć się winny z tego powodu.

Ujęła go pod ramię.

- Moglibyśmy o tym porozmawiać. Jeszcze nie zajmowałam się organizowaniem żadnego funduszu, ale mam teoretyczne przygotowanie. Rozwiązywanie problemów to moja specjalność. Nawet dostałam za to nagrodę.

- W takim razie rzeczywiście musimy o tym pogadać - stwierdził.

Przyszła kolej na obejrzenie zabytkowej biblioteki, wypełnionej solidnymi, drewnianymi regałami pełnymi książek.

- Wymaga rozbudowy i trzeba wymienić przewody elektryczne - wyjaśnił. - Chodźmy do bufetu.

Zeszli do podziemi. W piwnicy panował półmrok. Na drewnianej podłodze stały proste stoły. Siedziały przy nich grupki rozgadanych studentów, powoli sącząc piwo.

- Cześć - powiedział jeden z nich. Kiwnął niedbale ręką na powitanie. - Hej, Francis, Geoff! Przyszedł Konig - zawołała do kolegów siedzących w końcu sali. Unieśli głowy, "ale wizyta profesora nie zrobiła na nich wielkiego wrażenia. Jednak po chwili zaproponowali mu grę w rzutki.

- I panią też zapraszamy - dodali.

- To pani Calhoun - przedstawił ją oficjalnie. - Rzucałaś kiedyś do tarczy? - zwrócił się do Pepper.

- Nie, ale jako dziecko miałam łuk i strzały - powiedziała niepewnie.

- To wystarczający trening - zdecydował Steven. - Geoff, dwoje na dwóch? Stawki jak zwykle.

Pod koniec turnieju Pepper trafiała do tarczy co drugi raz.

- Zdaje się, że cię tu lubią - szepnęła, gdy usiadł obok, po kilku niezbyt udanych rzutach.

- Bo zawsze przegrywam - wyjaśnił z uśmiechem. - Nawet gdy ty mi nie pomagasz.

Uniosła oczy.

- To zwykłe oszustwo.

- Raczej sposób, żeby postawić im kolejkę bez narzucania się.

Pepper zrobiła zdziwioną minę.

- Studiowałam tu i pamiętam, że czasem trzeba było wy-

bierać między piwem a książką - tłumaczył. - Zresztą lubię to miejsce. Wolę je sto razy bardziej niż pokoje kierownictwa.

- Co masz przeciw gabinetom? - spytała z zaczepnym uśmiechem.

- Spytaj raczej, czego tamci ludzie ode mnie chcą - mówił z irytacją. - Niektórym nie podoba się, że przyjmuję zaproszenia do telewizji. Na tym między innymi polega moja praca. College powinien być znany, żeby zwrócił na siebie uwagę sponsorów. Dziekan i jego kumple mają do mnie o to pretensje, zupełnie jak wtedy, gdy jako student odpaliłem sztuczne ognie z wieży.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo przyszła jego kolej rzucania. Obserwowała go z zainteresowaniem. Spokojnie ocenił odległość, skoncentrował się i precyzyjnie rzucił. Był zaangażowany w barową grę, jak we wszystko, czym się zajmował. Uzyskał niezły wynik, ale nie na tyle dobry, by wygrać. Dokładnie tak, jak zapowiedział.

- Niezły jesteś - przyznała, gdy wrócił na miejsce obok niej.

- Jestem znany z dobrej koordynacji - powiedział z poważną miną i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Właściwie dlaczego nie pracujesz tu jako wykładowca na pełnym etacie?

Steven wzruszył ramionami.

- Nie jestem wybitnym naukowcem, a moja firma nie prowadzi skomplikowanych badań. Natomiast potrafię składać w logiczną całość, wyniki poszczególnych poszukiwań naukowych i wyciągać z tego wnioski.

- Czy tego samego nie robią całe tłumy specjalistów? - spytała Pepper po chwili zastanowienia.

- Nie, bo naukowcy są strasznymi snobami. Ograniczają się wyłącznie do swojej dziedziny. Natomiast ludzie biznesu nie znają się na badaniach naukowych. Mara więc pole do popisu dla siebie.

- Myślałam, że przede wszystkim jesteś przedsiębiorcą.

- Przez pewien czas tak było. Jednak byłem chemikiem i ta dziedzina najbardziej mnie interesuje. - Uniósł brwi. - Przepraszam, zdaje się, że mówimy o nudnych rzeczach.

- Ależ skąd - zaprzeczyła Pepper, z trudem powstrzymując się, by go nie objąć.

Uśmiechnął się.

- Jesteś uprzejma, a ja dobrze wiem, że jestem nudny. Kiedy zacząłem zajmować się syntetyzowaniem żywności, zapomniałem o bożym świecie - mówił z rozbawieniem. - Courtney powiedziała mi potem, że potrafiłem prowadzić dwa wykłady pod rząd, nie przerywając nawet na chwilę. Nie pamiętałem nawet, że powinienem coś zjeść.

Kim jest ta Courtney? - pomyślała Pepper. Nie wypadało zapytać, chociaż miała na to wielką ochotę.

- Zawsze tym chciałeś się zajmować?

- Syntetyczną żywnością? - spojrzał na nią, jakby spadła z księżycy. - Żaden chłopak o tym nie marzy. Chciałem zostać kosmonautą, lub kimś w tym stylu. Jednak byłem dobry z chemii - mówił, rozglądając się wokół z uśmiechem. - Potrafiłem wywołać całkiem niezłe eksplozje. Miało to wielkie znaczenie dla rozwoju mojego życia towarzyskiego.

- Słucham?

Założył ręce za głowę.

- W szkole bywałem samotny. Inni chłopcy kopali piłkę albo włóczyli się całą bandą po mieście. Ich zainteresowania

naukowe ograniczały się do kradzieży części samochodowych. Na dodatek byłem jedynakiem.

- Rzeczywiście, same nieszczęścia - przyznała Pepper z przekąsem.

- Nie było tak źle. Nauczyłem się robić coś w rodzaju petard. Wykorzystywałem do tego puszki po konserwach. W końcu ci chłopcy mnie zaakceptowali. Gdy zmarł mój ojciec, rodzice Toma zaopiekowali się mną. Właśnie z powodu Toma wybrałem ten college. Kiedyś studiował tu jego ojciec. Obaj ubiegaliśmy się o miejsce i obaj się dostaliśmy. - Znów rozejrzał się po sali. - Gdy byliśmy w ich wieku, też wpadaliśmy tu, żeby czegoś się napić. Teraz ci idioci z zarządu uważają, że nie zależy mi na college'u. Jako naukowiec może nie zasługuję na poważanie, ale staram się być dobrym zarządcą.

- Bardzo zależy ci na szacunku?

Steven wzruszył ramionami.

- Każdemu to potrzebne - przyznał.

Spojrzała na niego. W tym momencie robił wrażenie człowieka, który poniósł życiową klęskę. Nie mogła uwierzyć, że inteligentny, bystry, odpowiedzialny Steven Konig został pokonany przez akademickich snobów.

- Naprawdę potrzebna ci specjalistka od rozwiązywania problemów - powiedziała. - Możesz na mnie liczyć.

Zastygł na moment.

- Pepper, czy ty mi współczujesz?

Popełniłam błąd, pomyślała z lękiem. Izzy tłumaczyła mi przecież, że nie można dawać mężczyźnie do zrozumienia, że sobie z czymś nie radzi.

- Nic o to mi chodziło, ja...

Delikatnie dotknął jej policzka.

- Jesteś kochana - powiedział z czułością.
- Ja tylko chciałam przyłączyć się do twojej drużyny
- powiedziała cicho i dotknęła palcem jego ust. Bez słów spojrzeli sobie w oczy.

Steven wstał z miejsca.

- Postaram się szybko przegrać tę rundę i pójdziemy obejrzeć ogród różany.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ogród wyglądał na dziczają. Różane krzewy już dawno wymknęły się spod kontroli. Pepper zatrzymała się i wciągnęła zapach kwiatów głęboko do płuc.

- Fantastyczne miejsce - powiedziała.

Steven objął ją za ramiona.

- To rezultat oszczędności - stwierdził ze złośliwym uśmiechem. - Stać nas na ogrodnika tylko na pół etatu. Najwięcej czasu poświęca trawnikowi na głównym placyku, a róże rosną, jak chcą.

Spacerowali zarośniętymi ścieżkami, aż zrobiło się zupełnie ciemno i wzeszedł księżyc.

- Obejrzałaś ogród, a może zechcesz odwiedzić moje za-  
bytkowe mieszkanie?

- Wydaje mi się, że dziś rano już miałam okazję.

- W wieży jest więcej ciekawych zakamarków. Nie tylko antyczne schody i miniaturowa kuchnia. Chcesz zobaczyć?

- spytał cicho.

- Tak - powiedziała głośno, aż oboje podskoczyli.

- Świetnie - powiedział Steven, obejmując ją mocno.

Wydało jej się, że on też lekko drży.

Poprowadził ją do solidnych drzwi. Wyjął z kieszeni ciężki, żelazny klucz i po chwili szeroko je otworzył. Pepper



wspięła się krętymi schodami do niewielkiego, zagraconego salonu. Ciemna, dębowa boazeria i wszechobecne książki wprowadzały atmosferę kryjówki czarnoksiężnika. Brakowało tylko świec i ognia na kominku, żeby wrażenie było pełne.

- Mam uczucie, że nie pasuję do tego wnętrza - stwierdziła.  
- Kochanie, jesteś najcudowniejszym zjawiskiem, jakie te ściany widziały od dawna.

- W takim stroju i z resztkami liści we włosach? - spytała zaczepnie.

Roześmiał się głośno.

- Nie tylko - powiedział, wyciągnął rękę i zdjął z jej włosów kilka drobnych płatków róży. - Wyglądasz bardzo romantycznie - dodał i ruchem głowy wskazał alkowę. Na ścianie wisiało tam zabytkowe lustro w złoconej barokowej ramie.

- Boże, jak ja wyglądam - jęknęła. Jednocześnie spostrzegła w lustrze twarz Stevena. Otworzyła szeroko oczy. Naprawdę mu się podobam, pomyślała. Pierwszy raz w życiu nie miała żadnych wątpliwości co do intencji partnera.

- Wyglądasz zachwycająco - zapewnił.

Lekko dotknął jej ręki. Natychmiast wróciło wspomnienie z samolotu. Podobnie jak wtedy czuła, że trudno jej utrzymać równowagę. Wszystko miało znaczenie: jego dotyk, ciemny zarost, zdecydowane spojrzenie, które mówiło, że jej pragnie. Ja też go pragnę, pomyślała. Wyprostowała się. Czuła, że już nie ma powrotu. Była przestraszona, a jednocześnie zachowywała spokój.

- Chcę, żebyś została - powiedział cicho.

- Wiem - odpowiedziała, zaskoczona własnym zdecydowaniem. Jeśli teraz się wycofam, będę żałować przez resztę życia, pomyślała.

- Wiem, że nie spędziliśmy ze sobą zbyt wiele czasu - mówił Steven. - Jednak czuję się przy tobie tak, jakbyśmy znali się od lat.

Wziął ją za rękę i zaprowadził na górę spiralnymi schodami. Oczywiście chciała się z nim kochać. Przez całe popołudnie w cieniu wierzby jej ręce same wyciągały się do niego. Teraz, gdy to wreszcie miało nastąpić, poczuła, że zaschło jej w ustach.

- Schody są bardzo ryzykowne - stwierdził nagle.

- Dlaczego? - spytała zdziwiona.

- Założę się, że mnóstwo ludzi zmieniło zdanie, wspinając się po nich. Mam nadzieję, że ty należysz do bardziej wytrwałych i zdecydowanych, bo w przeciwnym wypadku będę musiał wnieść cię na górę.

- Załamałbyś się pod moim ciężarem - stwierdziła stanowczo i ruszyła przodem.

Nie pamiętała, jak pokonali schody, natomiast szybko przestała mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Zaczęli pieścić się łąpczywie; jak w transie, wciąż sobą nienasyceń. W pewnym momencie Pepper, dysząc z wyczerpania, opadła na poduszki i zaczęła się śmiać.

- Przypomniałam sobie, jak mówiłeś, że jesteś strasznie nudnym facetem - wyjaśniła. - Okropnie mnie nabrałeś.

- To dzięki tobie przestaję być nudziarzem - wyjaśnił z przekonaniem.

Przysunął się bliżej. Dotknął ustami jej nosa, policzków, przymkniętych powiek. Gdy pocałował jej usta, przyciągnęła go do siebie. Nie mogła dłużej czekać.

- Chodź do mnie - szepnęła ochrypłym głosem. Zapomniała o rzeczywistości. Cały świat przestał istnieć.

Nic sądziła, że dzięki niemu przeżyje coś tak silnego

i zmysłowego. Wreszcie czuła się kochana i pożądana. Potem nastąpiła absolutna cisza, jak po trzęsieniu ziemi. Gdy Pepper leżała zaspokojona i szczęśliwa, zdała sobie sprawę, że naprawdę go kocha. Jednak nie powiedziała tego głośno.

Nie miała pojęcia, jak długo leżeli objęci. W końcu Steven wstał. Pepper oprzytomniała nieco i stąpając wśród porzrzuconych części garderoby, odszukała swoją bawełnianą koszulkę. Rozejrzała się po pokoju. Z łóżka zniknęła pościel.

- Doprowadziliśmy to łóżko do ruiny - powiedział Steven, wracając do pokoju. Podszedł do niej od tyłu i przytulił do siebie. Czuła jego gorące ciało i oddech na włosach. Roześmiała się na widok poduszek na podłodze i zmiętego prześcieradła. Bezwiednie objął jej piersi.

- Zimno ci?

- Nie.

- Wydawało mi się, że zadrżałaś. Wszystko w porządku?

- Tak - powiedziała, opierając głowę na jego ramieniu. Nagłe uświadomiła sobie, że właśnie on jest mężczyzną jej życia. Przeszedł ją dreszcz radości.

- Jednak zmarzłaś. Otul się tym - powiedział, podając jej swój szlafrok. - Ja tymczasem zrobię coś z tym łóżkiem, żebyśmy mogli wygodnie spać.

Pocałował ją i szybko z dużą wprawą zabrał się za porządkowanie pościeli, jakby robił to wielokrotnie. Oczywiście, pomyślała, zerkając na jego wspaniałe mięśnie. Dlaczego miałyby być inaczej? Kobiety, które siedziały tu przede mną, pewnie też były wspaniałe.

Miała nadzieję, że Steven zostawi jej w łóżku trochę miejsca. Jednak on przysunął się blisko i ułożył jej głowę na swoim ramieniu.

- Wygodnie?

- Tak - skłamała. Gdy tylko zasnął, delikatnie uwolniła się z jego objęć. Wygodnie? - pomyślała. Też coś! Jestem tłuściochem zajmującym za dużo miejsca w cudzym łóżku.

Była kobietą biznesu, której życie zostało zaplanowane przez zamożną rodzinę. Uznała, że im szybciej wróci do swojego świata, tym lepiej. Dopóki jest jeszcze czas, dopóki nie zacznie snuć marzeń o wspólnej przyszłości ze Stevenem. Jeśli uwierzy, że łączy ich coś poważnego, skończy ze złamanym sercem. Patrzyła w ciemność, powstrzymując łzy. Rano obudziła się bez złudzeń co do rajskiego życia we dwoje.

Steven kręcił się po sypialni, rozmawiając swobodnie, jakby budzili się razem już setki razy. Gdybym była jak Izzy i Jemima, wiedziałabym, jak się teraz zachować. Nawet nie wiem, co powiedzieć.

- Mógłbyś przynieść mi kostium? Zostawiłam go w torbie gdzieś na dole, a chciałabym przyzwoicie wyglądać, gdy przyjdzie gosposia - powiedziała nieco oschle.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Prawda jest okrutna: nie ma żadnej gosposi. Uczelni nie stać na takie fanaberie.

- Och, a kto zajmuje się dzieckiem?

- Windflower? Ja, ale to chyba nie problem?

- Nie, oczywiście.

- Dziś nocuje u koleżanki, więc nie musisz obawiać się spotkania przy śniadaniu.

Nigdy jeszcze nie miała takich kłopotów z porannym pożegnaniem. Zdawała sobie sprawę, że on jest miły, a ona zachowuje się jak strojąca fochy księżniczka.

- Czyli nie będzie śniadania?
- Zapomniałem, że bogate pannice nie zajmują się gotowaniem - powiedział, powoli tracąc cierpliwość.
- Już nie jestem zamożną dziewczyną - stwierdziła.
- Trudno to zauważyć - powiedział i podszedł bliżej. Objął ją za ramiona i spojrzał w oczy.
- Bardzo zmieniłaś się od wczoraj. Co się stało?
- Odwróciła wzrok.
- Nie przejmuj się moim kostiumem. Sama sobie przyniosę - powiedziała i pospiesznie wyszła z sypialni.
- Natknęli się na siebie w kuchni. Pepper włączyła ekspres do kawy. Na pogniecioną bluzkę zdażyła włożyć żakiet.
- Już wychodzisz? - spytał, stając w drzwiach.
- Słucham?
- Miło z twojej strony, że opóźniłaś wyjście i wstawiłaś kawę. To wykraczało poza obowiązki. Pepper, mogę wiedzieć, o co chodzi?
- Gdyby wyciągnął do niej rękę, może pozbyłaby się wątpliwości. Jednak on tylko patrzył na nią.
- Po prostu muszę wracać do pracy. Za długo się objąłem - zaśmiała się bez przekonania. - Nie wiem, co mnie wczoraj napadło.
- Rozumiem.
- Chyba źle się wyraziłam. Chciałabym, żebyś wiedział, że nie mam zwyczaju sypiać z obcymi.
- Uważasz, że ja tak postępuję? - spytał.
- Nie znam twoich zwyczajów - stwierdziła udreńczonym tonem.
- Podszedł bliżej.
- Czy właśnie o to chodzi?

- Chodzi o mnie - wyjaśniła. - Jestem, jaka jestem i na ogół sypiam samotnie.

Zastygł w miejscu.

- Widzisz, Steven, poświęciłam się karierze i nie interesują mnie żadne związki. Muszę trzymać się wytyczonego celu.

Steven uniósł dłoń.

- Nie mów nic więcej.

- Chcę wytłumaczyć.

- Co tu tłumaczyć? - spytał z lodowatym uśmiechem.

- Wszystko jest jasne.

Pepper zacisnęła zęby.

- Nic ułatwiasz mi.

- Cóż, bardzo mi przykro - powiedział i chwycił bochenek chleba. Precyzyjnym ruchem rzucił w ekspres do kawy, który spadł na podłogę. Kawałki szkła i kawa były wszędzie.

- Przepraszam, mów dalej. Czyli utrudniam ci odejście?

Była przerażona własnym zachowaniem. Zaczęła bawić się w gierki, na których zupełnie się nie znała.

- Nie powinieneś tak stawiać sprawy. To nie w porządku

- tłumaczyła bez przekonania.

- Jeśli spodziewasz się, że cię przeproszę, że kochaliśmy się, to się nie doczekasz - oświadczył.

- Proszę...

- Powiedz mi tylko jedno: czy wszystkim twoim kochankom rozkazujesz następnego dnia rano, żeby odeszli? - spytał.

Spojrzeli sobie w oczy. W jego spojrzeniu zobaczyła nienawiść. Poczwała pustkę. Poddała się i wybiegła.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Tego ranka Steven zachowywał się jak niedźwiedź cierpiący na ból głowy. Przynajmniej tak uważała Val.

- Nie biegałem dzisiaj. Jeśli nie trenuję, jestem poirytowany - usprawiedliwiał się. Jednak ona uważała, że za tym kryje się Pepper Calhoun i chętnie by ją upiekła na wolnym ogniu. Dzień zapowiadał się ponuro. Na dodatek do biura wtargnął jeden ze studentów. Zamiast się go natychmiast pozbyć, Steven poczęstował go kawą i zaczął rozmowę.

- Ta Pepper Calhoun robi miłe wrażenie - mówił Geoff.  
- Byłoby ciekawie, gdyby na uczelni odbyła się dyskusja między wami. Pojedynek słowny zgodnie z tradycją uczelni. Można nawet zaprosić jakieś media. Zgodzi się?

Steven wzruszył ramionami.

- Musisz ją zapytać. Poinformuj mnie, co odpowiedziała. Właściwie było mu wszystko jedno. Widział już, że najważniejsza dla niej była kariera i nic więcej się nie liczyło. Wtedy w samolocie wydawała się zupełnie inna: nieśmiała, naturalna, delikatna. Czuł się zawiedziony i skrzywdzony. Dotychczas nawet Courtney nie potrafiła go tak zranić.

Powrót do Londynu był okropny. Pepper wcisnęła się w kąt przedziału, zastanawiając się nad każdym słowem, wypowiedzianym przez Stevena. Był wrażliwym i dobrym czło-

wiekiem. Na pewno miał wyrzuty sumienia, że w czasie spotkania w telewizji nie zachował się kulturalnie. Uznała, że postanowił jej to wynagrodzić i potraktował ją jak naprawdę atrakcyjną kobietę. Odegrał romantyczne sceny, żeby poczuła się obiektem prawdziwego zainteresowania. Pepper Calhoun, czas wrócić do rzeczywistości, powiedziała do siebie.

W mieszkaniu nikogo nie zastała. Natychmiast weszła pod natrysk i spędziła tam mnóstwo czasu, jakby starała się zmyć wszystkie kłopoty. Byłabym naiwna, gdybym uwierzyła, że potraktował mnie serio, przekonywała samą siebie. Nie ma sensu o tym myśleć. Praca czeka. Przebrała się w świeży kostium i śnieżnobiałą bluzkę. Ruszyła na spotkanie z zespołem projektantów. Potem zdecydowała się wracać do domu na piechotę wzdłuż rzeki. Jednak wkrótce boleśnie odczuła, że eleganckie pantofle nic nadają się do długich spacerów. Spocona i zdyszana uświadomiła sobie bolesną prawdę: przestała dbać o kondycję i panować nad swoją wagą. Steven miał rację. Gdyby tylko chciała, mogłaby coś na to poradzić. Nie chciała już nigdy myśleć o sobie z niechęcią, ani udawać, że to nie ma dla niej znaczenia. Żaden wspaniały mężczyzna nic powinien uważać, że randki z nią to pewnego rodzaju poświęcenie. Wystarczy narzucić sobie twardy plan i kupić wygodne sportowe buty, doszła do wniosku.

Wróciła do domu, trzymając w ręku parę nowiusieńkich tenisówek.

- O co wam chodzi? - spytała zaczepnie, gdy weszła do środka. Obie kuzynki patrzyły na nią z wyrzutem.

- Zdaje się, że zrobiłaś furorę w Oksfordzie - zaczęła Izzy.

- Słucham?



- Automatyczna sekretarka jest zablokowana wiadomościami do ciebie - wyjaśniła Jemima wyraźnie niezadowolona. To zwykle ona okupowała telefon. - Głównie od Koniga, ale nagrała się też jego sekretarka, potem jakaś dziewczynka, która twierdzi, że Steven jest jej wujkiem, następnie student, z którym grałaś w rzutki...

- Kto?

- Nie udawaj - wtrąciła Izzy. - Niejaki Geoff. Chce, żebyś wzięła udział w jakimś pojedynku, który ma pomóc college'owi w zbieraniu funduszy. Zdaje się, że nieźle narozrabiałaś.

- Niespecjalnie - odpowiedziała wymijająco i zniknęła w swoim pokoju, nim zdołały nakłonić ją do zwierzeń.

Po raz drugi tego dnia weszła pod natrysk. Dzięki temu miała czas spokojnie zaplanować strategię swojego życia. Gdy wyszła, złożyła publiczne oświadczenie.

- Zaczynam się odchudzać.

Kuzynki spojrzały zdziwione.

- Nie ruszałam się, tylko ciągle siedziałam przed komputerem. Zmieniam zwyczaje. Będę dużo chodzić. Muszę zrzucić kilka kilogramów.

- Tak? - odezwała się Jemima bez entuzjazmu. - Życzę szczęścia.

Izzy nie powiedziała nawet słowa.

- Cóż, cieszę się, że mnie popieracie - stwierdziła Pepper i poszła do sypialni. Nie zamierzała odpowiadać na żadne telefony, jednak po chwili zjawiła się Izzy.

- Ten facet znów dzwoni - powiedziała i wyszła, nim Pepper zdążyła wymyślić jakąś wymówkę.

- Słucham?

- Musimy się spotkać - powiedział Steven chłodno i zdecydowanie.

- Nie sądzę.

- Chyba jednak tak - upierał się z rozbawieniem. - Zostawiłaś koszulkę.

- Wyślij pocztą.

- Twoja babka kontaktowała się z moim biurem.

- Co?

- Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać o twoich życiowych planach. Po rozmowie z nią dziwię się, że jej gadanie traktujesz na serio.

Przymknęła oczy. Przez chwilę wyobraziła sobie, że znów są razem w łóżku. Przestań, to nie dla ciebie, pomyślała z wyrzutem. Wzięła głęboki oddech.

- Steven, rozmowa niczego nie zmieni. Zaplanowałam sobie życie już dawno temu.

- Możesz zmienić decyzję.

- Ludzie nic zmieniają się tak nagle. Jestem jak zawsze poważna, trochę sztywna i... za ciężka.

Po drugiej stronie zaległa cisza. Jeśli chciałby zaprzeczyć, teraz był najlepszy moment. Jednak nie zrobił tego. Zacisnęła usta.

- Proszę, nie dzwoń do mnie więcej. Chcę sama decydować o własnym życiu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Steven odłożył słuchawkę. Wyrzął do ogrodu, ale przed oczami ciągle miał Pepper. Doszedł do wniosku, że jego pierwsze wrażenie było słuszne: była nieśmiała, naturalna, inteligentna, miła i miała straszne kompleksy z powodu swojej figury.

- Za ciężka! - powiedział głośno i uśmiechnął się pod nosem. - Nad nią trzeba poważnie popracować.

Już następnego dnia Pepper zapisała się na grupową terapię dla osób z nadwagą i kupiła sportową bluzę.

- Od dzisiaj chodzę piechotą - oświadczyła kuzynkom. - Odchudzam się i nie będę już mogła powiedzieć, że poniosłam klęskę z powodu odpychającego wyglądu.

- Świetnie - odezwała się Izzy, natomiast Jemima wyszła z pokoju. Pepper uniosła pytająco brwi.

- Masz konkurentkę w odchudzaniu - wyjaśniła Izzy. - Nie przejmuj się.

Wycinek nosił tytuł *Prawdziwa amerykańska kobieta*. Tekst zaczynał się od stwierdzenia: „Idealna amerykańska kobieta mierzy 172 cm i waży 50 kg, natomiast przeciętna mierzy 165 cm i waży 65,5 kilograma.”

Pepper zakrztusiła się.

- Co się dzieje? - spytała Izzy, zaglądając jej przez ramię.

- Zdaje się, że Steven Konig daje mi do zrozumienia, że zamartwiam się i zawracam wszystkim głowę bez powodu.

Przez kolejne dni wysyłał następne cytaty z prasy i książek, fragmenty artykułów.

- To nie do wiary - stwierdziła Pepper. - Zupełnie jakby zaczął kampanię ratowania mojego dobrego humoru.

- Wie, jak zwrócić twoją uwagę - stwierdziła Izzy. - Gdyby pisał w swoim imieniu, nie uwierzyłybyś w jedno słowo. Trzyma się więc gotowych opracowań. Z faktami nie sposób polemizować.

Poza tym Steven nie dawał innego znaku życia. Sklep i biuro były na ukończeniu. Izzy zajęła się odbiorem pierwszych dostaw odzieży. Pepper nie miała wiele do roboty. W końcu doszła do wniosku, że powinna porozmawiać ze Stevenem. Podejrzewała, że on też miał na to ochotę. W przeciwnym razie nie bombardowałby jej kolejnymi informacjami. Zadzwoiła do college'u. Sekretarka oświadczyła oschle, że profesor jest zajęty. Będzie na spotkaniu do końca dnia. Można zostawić dla niego wiadomość.

Pepper poczuła rozczarowanie. Podała nazwisko oraz numer i rozłączyła się. Kręciła się bez celu po swoim nowym biurze, gdy nagle rozległ się dzwonek do drzwi.

- Ta winda jest za stara - oświadczyła Mary Ellen Calhoun, wkraczając bez uprzedzenia. - Każdy inwestor uzna natychmiast, że nie stać cię na nic lepszego.

- Wręcz przeciwnie, babciu - odpowiedziała spokojnie Pepper. - Jesteś w Anglii. Inwestorzy, widząc metalowe wykończenie z czasów króla Edwarda, natychmiast stwierdzą, że jesteście firmą z klasą.

Nie rzuciła się jej w ramiona, ale zaprosiła do środka. Mary Ellen rozejrzała się krytycznie i wystudiowanym ruchem zdjęła rękawiczki.

- Porzuciłaś Calhoun Carter dla tego czegoś?

- Tak. Może podać ci kawę?

- Nie masz nawet asystentki? - spytała przez ramię.

- Jest w hurtowni - odparła i napełniła filiżanki. - Może usiądziesz?

- Wpadłam tylko na chwilę. Przeczytałam gdzieś, że otwierasz tę firmę. Może to i dobry pomysł. Chcę ci zaproponować układ.

Pepper spojrzała na nią podejrzliwie.

- Jaki?

- Wrócisz do Calhoun Carter. Ten twój biznesik też przejdzie w nasze ręce. Zainwestujemy odpowiedni kapitał. Oczywiście zatrzymasz rolę doradcy.

Pepper roześmiała się głośno.

- Babciu, ty się nigdy nie zmienisz. Nie chcę być doradcą. Chcę zrealizować własny pomysł i zobaczyć, co z tego wyniknie. Dziękuję za propozycję. Co słyhać u ciebie?

Mary Ellen odstawiła kawę.

- Myślisz o nim poważnie?

- Słucham?

- O tym z Oksfordu.

- Co?

- Naprawdę jesteś dziecinna - mówiła Mary Ellen. - Wydaje ci się, że rzucisz na kogoś urok, a on wpadnie w twoje ramiona. Rzeczywisty świat to nie serial filmowy.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Parę tygodni temu przysłał e-mail do mojej firmy, py-

tając o ciebie. Dlaczego miałyby to robić, gdyby nic wiedział, że jesteś moją dziedziczką?

Nagle Pepper poczuła dla niej współczucie.

- Jeśli mówisz o Stevenie Konigu, to nasze kontakty nie powinny cię obchodzić.

- Powinny, bo ja będę potem płacić rachunek. Ile on będzie mnie kosztował?

Pepper roześmiała się głośno. Marry Ellen poczuła się obrażona.

- Nie waż się śmiać. Zawsze dostawałaś ode mnie to, co chciałaś - zawołała z furją.

- Nic, babciu. - Pepper odzyskała chłodny spokój. - Dostawałam wyłącznie to, co ty chciałaś mi dać. Nie życzę sobie, żebyś kupowała rai mężczyznom, a Steven Konig nie jest na sprzedaż.

- Każdego można kupić. To tylko kwestia ceny.

Pepper pokręciła głową.

- Jeśli naprawdę tak myślisz, to bardzo ci współczuję.

- Naprawdę wydaje ci się, że sama go zdobędziesz? Jak? Nie jesteś prawdziwą kobietą, tylko dzieckiem, któremu wydaje się, że już potrafi żyć w świecie dorosłych. Brak ci choćby odrobiny wdzięku, jesteś gruba i nie umiesz postępować z mężczyznami. Ten Konig to - jak słyszałam - człowiek sukcesu, i do tego atrakcyjny. Nie masz szans.

Pepper pomyślała o codziennych mailach od niego.

- Babciu, niewykluczone, że jednak się mylisz - powiedziała z przekonaniem i zdała sobie sprawę, że już najwyższy czas na jej ruch wobec Stevena. Telefony to za mało.

- Przepraszam, babciu, ale mam mnóstwo pracy - powie-

działa nagle, podała jej rękawiczki i odprowadziła do windy. Następnie zadzwoniła do Oksfordu.

- Fantastyczna sprawa - powiedział Geoff, witając się z nią przy portierni.

- Mam nadzieję - stwierdziła. Nie była pewna, czy miała dobry pomysł. - Nikomu nic powiedziałaś?

Uśmiechnął się.

- Nikomu, nawet facetowi z kamerą, który czeka w holu. Chcesz się przebrać?

Skinęła głową. Najważniejszą częścią jej przygotowań był zakup wspaniałej sukni. Co prawda wyniki odchudzania na razie nie były imponujące, ale przynajmniej nabrała pewności siebie.

- Możesz tymczasem skorzystać z mojego pokoju. Oficjalnie nie ma cię na liście gości. Konig powinien być zaskoczony. Mam nadzieję, że co najmniej zemdleje - mówił z uśmiechem.

- Też na to liczę - przyznała.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Suknia rzeczywiście była niecodzienna. Dla kobiety zwykle ubierającej się w poważne kostiumy i bluzki z kołnierzykiem, jedwabna suknia do kostek okazała się prawdziwą odmianą. Na dodatek kreacja była w kilku odcieniach czerwieni: od purpury, przez szkarłat, po wiśnię.

- To nie jest strój dla rudzielca - stwierdziła zaskoczona Pepper, gdy Izzy znalazła tę suknię w pierwszej dostawie od młodych projektantów.

- To jest strój dla osoby, która czuje się wystarczająco kobieca, by ją nosić - oświadczyła stanowczo Izzy. Pepper przymierzyła. Jedwab układał się doskonale. Natychmiast podjęła decyzję.

- Biorę ją!

Teraz szła wzdłuż zabytkowych murów z odsłoniętymi ramionami, w czerwonych rękawiczkach do łokci, czując, że każdy przygląda się jej płomiennej sukni.

- Musi mi się udać - powiedziała cicho.

- Jasne - potwierdził Geoff. Uroczysty obiad w college'u miał zacząć się lada moment. Geoff był tak przejęty nadchodzącym spotkaniem, że włożył na siebie frak, podobnie jak cała grupa jego kolegów. Zaplanowali wszystko bardzo szczegółowo. Usadzili Pepper na ławce przy bocznym stole, jak najdalej od od tutejszych dygnitarzy i ich gości.



Zapalono świece w lichtarzach, stojących na środku każdego stołu.

- Wygląda to bardzo archaicznie - stwierdziła, rozglądając się po sali. Błyszczące ławy i stoły, promienie zachodzącego słońca, wpadające przez witrażowe okna, płomyki świec - wszystko tworzyło niezapomniany nastrój.

- Trzymamy się tradycji - zdążył szepnąć Geoff, nim zabrzmiał gong. Wszyscy wstali. Na salę wkroczył zarząd uczelni. Wszyscy w akademickich togach. Zajęli miejsca przy głównym stole. Steven w tym stroju wyglądał jak bajkowy czarodziej. Był wyraźnie zmęczony i przybity.

- Zdaje się, że Konig wpadł w kłopoty. Zarząd ma do niego pretensje, że nie zdobył funduszy na remonty - odezwał się ktoś do Geoffa, który pytająco spojrział na Pepper.

- Nadal chcesz mu pomóc? - spytał. Skinęła głową, nerwowo przełykając ślinę. Posiłek okazał się wyśmienity, ale była zbyt przejęta, by skupić się na jedzeniu.

Gdy świece wypaliły się do połowy, niektórzy goście zaczęli żegnać się i opuszczać salę.

- Jak długo jeszcze? - spytała Geoffa.

- Teraz jest odpowiedni moment.

Wstała i ruszyła przez salę. W pierwszej chwili nikt nie zwrócił na nią uwagi. Wszystkie panie były odświętnie ubrane. Jednak, gdy powoli podeszła do głównego stołu, ucichł gwar. Nikt jej tu wcześniej nie widział. Nic wyglądała też na studentkę. Czuła, że jej policzki zaróżowiły się i starała się nie potknąć na wysokich obcasach. Stała naprzeciw Stevena, po przeciwnej stronie stołu. Patrzył na nią jak urzeczony, nie poruszając się. Powoli zdjęła rękawiczkę i położyła ją na stole.

- Zgodnie z tradycją wyzywam pana na słowny pojedynek w tej sali - powiedziała uroczystym tonem.

Nie wydusił z siebie słowa. Po prostu patrzył jej w oczy, jakby byli tu tylko we dwoje.

- Słucham? - odezwał się wreszcie, jakby budził się ze snu.

- Publiczna dyskusja - mówiła. - Słuchacze płacą za wstęp. Pieniądze zostaną przeznaczone na fundusz college'u.

Zrobił się szum. Wszyscy zrozumieli, że wreszcie pojawiła się szansa na remont budynku. Dostojnie wyglądający starszy pan zwrócił się do Stevena.

- Nalegam na przyjęcie wyzwania. Chodzi o honor uczelni.

Steven wreszcie oprzytomniał.

- Dziękuję za radę, panie dziekanie. Jak zwykle bardzo trafna - powiedział i skłonił się lekko. - Pani Calhoun, zgadzam się z przyjemnością.

Rozległy się okrzyki i oklaski. Pepper skłoniła głowę i ostrożnie stawiając obcasy na polerowanej podłodze, ruszyła w stronę swojego stołu. Steven ruszył za nią.

- Proszę mi pozwolić - zaczął. Nieopatrznie odwróciła się zaskoczona i natychmiast pośliznęła. Steven podtrzymał ją i zaprowadził do bocznych drzwi.

- Zdaje się, że znów się przydałem - skomentował z uśmiechem. Wyszli i ruszyli prosto do jego mieszkania.

- Zakochałem się w tobie - powiedział, obejmując ją mocno.

- Nie jesteś zbyt radosny z tego powodu - zauważyła.

- Powiem ci prawdę: ostatnim razem, gdy byłem zakochany, bardzo się zawiodłem. Prześladowuje mnie to do dziś.

- Courtney? - spytała, zrzucając niewygodne buty.

- Ktoś ci powiedział?  
- Sam wspomniałeś kiedyś to imię.  
- Tak - powiedział, trzymając mocno jej dłoń. - Klasyczny przypadek. Miałem serdecznego przyjaciela. Był dla mnie jak brat. Courtney zdecydowała, że woli jego. Jednocześnie uważała, że jestem w niej na tyle zadurzony, by romansować z nią za jego plecami.

- Co z nią się teraz dzieje? Nadal kontaktuje się z tobą?  
- W pewnym sensie. To matka Windflower.  
- Rozumiem - powiedziała po chwili. - Czyli Windflower jest córką tego twojego przyjaciela?

Skinął głową.

- Chciał, żebym został jej ojcem chrzestnym. Po jego śmierci nic mogłem się od niej odwrócić. Myślę, że długo z mną będzie. Nie masz nic przeciwko temu?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytała zdziwiona.  
- Myślałem, że nie zniesiesz dziecka kręcącego się w pobliżu. Tym bardziej, że to dziecko dawnej narzeczonej.  
- Dlaczego miałyby mi przeszkadzać?  
- Nie mogłaś sobie nawet przypomnieć jej imienia.  
- To dlatego, że myślę o niej jako o Janiec.

Tym razem Steven uniósł brwi ze zdziwienia.

- Janice?  
- Tak mi się przedstawiła wtedy w telewizji, gdy udzielała mi darmowych porad na temat makijażu. Wydawało mi się, że coś kręci, ale nic byłem pewna. Hm, nosi dość paskudne imię.

Steven roześmiał się głośno.

- Wyjątkowe, to prawda - przyznał i spojrzał jej w oczy.  
- Nadal wydaje mi się, że nie do końca mi ufasz - powiedział poważnie.

Pokręciła głową.

- Ty miałeś swoją Courtney, a ja własne klęski. Bardzo późno odkryłam, że randki organizowała mi babka. Trwało to całe lata, a ja niczego się nie domyślałam. Byłam taka naiwna. - Na chwilę zamknęła oczy, walcząc z napływającymi łzami. - Chciałabym być jak moje kuzynki. One świetnie dają sobie radę ze związkami. Ja niestety nie.

- Mówisz o nas?

Skinęła głową.

- Wtedy, gdy byliśmy razem. Ja nigdy tak nie postępuję.

- Podobnie jak ja.

- Naprawdę?

- Uważasz, że gdy tylko chcę, biorę wolny dzień, żeby wyskoczyć z panienkami nad rzekę?

- Tego nie wiem.

- Przestań się ze mną droczyć. Wyjdiesz za mnie, czy nie?

Nie uwierzyła własnym uszom. Patrzyła na niego, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

- Dowiem się, czy mam to powtórzyć w czasie tej całej publicznej dyskusji?

- Odważyłbyś się?

- Tak, gdybym musiał. Nie przestraszyłem się twojej babci, to nie przestraszę się też olbrzymiego audytorium.

Pepper natychmiast stała się bardzo czujna.

- Rozmawiałeś z nią? - spytała lodowatym tonem.

- Kiedyś wysłałem mail do jej firmy. Próbowałem cię znaleźć. Nagle w tym tygodniu wpadła do mojego biura i zaproponowała okrągłą sumkę. Miałem cię przekonać, żebyś wróciła do Stanów.

- Dała do zrozumienia, że zapłaci ci za ślub ze mną?

Steven wzruszył ramionami.

- Ta jędzka zaczęła coś mówić na ten temat, gdy jej powiedziałem, że mam zamiar zaproponować ci małżeństwo. Wyrzuciłem ją za drzwi.

Pepper poczuła się dumna. Jednocześnie nie mogła uwierzyć, że nagle w jej życiu wydarzyło się tyle dobrego. Ciagle pamiętała słowa babki: „Brak ci choćby odrobiny wdzięku. Nie masz szans”.

Steven wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Penelope Anne Calhoun, jesteś kobietą, o jakiej nawet nie mogłem marzyć. Na litość boską wyjdź za mnie, żebym wreszcie odzyskał spokój.

Wahała się jeszcze.

- Pepper, kocham cię, co jeszcze mam powiedzieć? Ty mnie nie kochasz?

- Mary Ellen zawsze powtarzała, że jestem za gruba.

Steven westchnął.

- Powiedzmy, że jesteś dorodna. Jak każdy arabski książę uważam, że pulchna żona świadczy o zamożności męża.

Pepper roześmiała się rozbawiona.

- Kobiety, które malował Rubens, też były bardzo seksowne - dodał Steven, zrzucając marynarkę. - Widzę, że nie możesz się zdecydować, więc zrobię to, o czym zawsze marzyłem - powiedział. Mimo protestów Pepper, podszedł, uniósł ją w powietrze i przerzucił przez ramię. Następnie zaniósł po kręconych schodach prosto do łóżka.

## EPILOG

Dyskusja odniosła wielki sukces. Sala jadalna była przepelniona. O spotkaniu zrobiło się głośno, więc przyjechali również absolwenci sprzed lat. Jeden z nich obiecał sfinansowanie remontu dachu. Zebrano więcej funduszy, niż oczekiwano. Nawet dziekan przyznał, że Steven Konig udowodnił swoją wartość. Wiadomość, że żeni się z Pepper Calhoun, nikogo nie zaskoczyła. Jedyne dziekan sugerował, żeby na terenie college'u zachowywali większe umiarkowanie w okazywaniu sobie uczuć. Steven wyciągał do niej ręce, gdy tylko znalazła się w pobliżu. Powoli sama oswoiła się z takim zachowaniem.

W dniu, kiedy oficjalnie ogłosili, że zamierzają się pobrać, wybrali się na łąkę na piknik. Siedzieli, opierając się o siebie, wygrzewali na słońcu i cieszyli zapachem świeżo skoszonej trawy. Windflower wybrała się z nimi. Z trudem znalazła wolny dzień w swoim bujnym życiu towarzyskim. Właśnie ona dowiedziała się pierwsza.

Spojrzała na nich poważnie. W końcu odwróciła się do Pepper.

- Czy wiesz dużo o dzieciach? - spytała po namyśle.

- Nic a nic - przyznała Pepper. - Sama miałam smutne dzieciństwo, więc będę musiała wiele się nauczyć.

Windflower zagryzła wargę.

- Wujek Steven i ja wszystkiego cię nauczymy - powiedziała życzliwie.

- Dziękuję- Pepper odetchnęła z ulgą.

- Nie ma sprawy - zawołała Windflower i pobiegła do innych dzieci bawiących się nad strumykiem.

- Myślisz, że naprawdę nie ma do nas pretensji? - upewniła się Pepper.

- Jestem pewien, że teraz najważniejsza jest dla niej zmiana imienia - stwierdził Steven. - Nie zdziwię się, jeśli zażyczy sobie, żeby to zrobić w czasie ślubnych uroczystości.

Pepper roześmiała się.

- Dlaczego nie? Wszystko nagle się zmieniło.

Przyciągnął ją do siebie.

- Powiedz, czy to jest w porządku: kilka miesięcy temu byłem samotnym człowiekiem, nie miałem nawet czasu na prywatne życie. A teraz...

- Teraz jesteś mężczyzną obarczonym odpowiedzialnością za dom i rodzinę.

. Steven ujął jej dłoń i zbliżył do ust.

- Nie - powiedział cicho. - Teraz jestem zakochany.